

„PRAWDZIWA CNOTA KRYTYK SIĘ NIE BOI”  
(I. Krasicki)

# Szpilek

Nr 19 (2072)  
Rok XLVI

10.V. 1981 r.  
Cena 7 zł



JÓZEF DYNDĄ

J. Dynda

# DO REDAKTORA

## POMOGLIŚMY

Mojemu krewnemu humor się ostatnio poprawił. Pracownik z Huty „Warszawa” natknął się na jego samochód w okolicach Warki. Jeśli Pan wydrukował moją prośbę do złodzieja o zwrot samochodu (wydrukowaliśmy w nr 18 - red.), to chciałbym mu na łamach pisma podziękować. Złodziej okazał duże poczucie humoru: ukradł akumulator, a zostawił koło zapasowe. Trzeba dodać, że wybił szybę i zdemolował stacyjkę, co jest zrozumiałe, gdyż musiał ją coś odjechać. Zabrał jeszcze komplet kluczy samochodowych (narzędzi) oraz koc, co jest także wytłumaczalne, ponieważ wypadło akumulator w coś zawinąć. Dziękuję złodziejowi, że nie rozbił samochodu oraz, że postawił go w widocznym miejscu.

RADOSŁAW ZIĘCINA  
Warszawa

## MARZEC WE WROCŁAWIU

Marzec we Wrocławiu był miesiącem ciszy i spokoju. Umiłki tramwajowe Polaków dyskusje, ucichli wszyscy wychodzący dołąd z założenia, że im głośniej krzyczą tym więcej

mają racji. Ba, usunęli się jakby w cień nawet ci, którzy mając już wybrane solidne gałęzie i przygotowane stopy szukali tylko kandydatów na wisielców i ewentualnych czarownic. Słowem, cisza aż biła po uszach. Słychać było tylko głośnie przetykanie śliny. Coś niedobrego było w powietrzu. Chodząc ulicami miasta albo wspomagając kasowanymi biletami Mleczki Przedsiębiorstwo Komunikacyjne zastanawiałem się, co stało się temu rozdyktowanemu społeczeństwu? „Solidarność” polecenia - milczeć, o ile wiem, nie wydawała. Nie było także rządowej dyktandy o powszechnym gądaniu, przeciw któremu to zjednoczone milczenie mogłoby być protestem.

Więc co?

Szukając odpowiedzi zacząłem uważnie przyglądać się ludziom. Aż wreszcie - Eureka! Na sweterku opinającym, tak że panom robiło się duszno, górną połowę jednej z wrocławianek dojrzałem znaczek - „Obywatelu! Nie pieprz bez sensu!” I stała się jasność: zrozumiałem. Naród, do którego nie trafiają referatowo-dziennikowozebraniowe slogany ugął się przed rubasznym i uderzającym prosto między oczy dowcipem Andrzeja Mleczki. Pobiegłem naty-

chmiast do Galerii „Na Solnym”, gdzie artysta łaskawie przyjmował szpalery, gęsiego idących wzdłuż ciasno porozwieszanych prac, wielbiciele i holdowników. Zachwyty był powszechny i ogromny. W powietrzu, nad zwiedzającymi, krzyżowały się okrzyki: „O Jezu”, „Ale jaja”, „Niech ja skonam”, a szczytem uznania dla Mleczki było pełne namiętność „O kuuurwa”, wybijające go na barda ludu. Nie czekał zbyt długo, by zabrnąć pod strzechy.

Nie potrafiła natomiast zachować się wrocławska prasa. Ośmielono się nawet wypomnieć Mistrzowi, że jeszcze parę lat temu to cieszył się, kiedy brano odbitki jego rysunków za darmo, a teraz od każdego chce ciężkich pieniędzy. Po takich wystąpieniach trudno dziwić się narzekaniom na prasę. Do krytykowania to pierwsza, ale pochwalić, że można było dostać Mleczko, mimo kolejek, bez kartek, już nie łaska.

MARIAN URBANEK  
Wrocław

## NIC, PANIE ZENEK

Od kilku dni mój mózg nadaje: „Panie Zenek co się porobiło”. Chodzę, patrzę i nadziwić się nie mogę. W jednym z ostatnich dni kwietnia 1981 r. około godziny 14.30 przechodziłam przez plac Teatralny. Tuż przed Teatrem Wielkim stało wiele różnych samochodów. Między dwoma autobusami dostrzegłam dwie kobiety w podkaszanych spódnicach. Sikaly przed Teatrem Wielkim. Patrzyły na to plac Teatralny, patrzyła Nike, patrzyło niebo polskie i ja. Tym razem nie miałam aparatu fotograficznego. Przechodziła też tamtędy młoda kobieta w zielonym płaszczu. Zaszokował ją ów widok. Rozmawialiśmy. Trudno było - w tej sytuacji - interweniować. Zdażyłam zapisać numer rejestracyjny. Oto on - SUC 456H. Towarzystwo było pijane. W chwili gdy podeszłam do panów rozmawiających przy drzwiach służbowego samochodu - kierowca w popochu pijane bractwo począł pchać do pojazdu. Na moje pytanie - Skąd panowie jesteście? - jeden z nich odpowiedział - dlaczego, czy coś się stało?

Nic! Pomyślałam w duchu - nic, panie Zenek.

LIDIA PISS  
Jelenia Góra

## BANK „SZPILEK”

Nazywam się Jarosław Bochyński, mieszkam w Opolu i od kilku lat jestem stałym czytelnikiem Waszego tygodnika. Chcąc umożliwić jego czytanie również innym postanowiłem napisać do Was z prośbą o zamieszczenie w „Banku Szpilek” krótkiego ogłoszenia. Otóż posiadam do odstąpienia numery „Szpilek” (podwójne):

1974 r. - nr 32, 36, 43, 47  
1975 r. - nr 1, 27, 41 do 50  
1976 r. - nr 1 do 10, 12 do 17, 19, 21 do 24

1981 r. - nr 7 do 13.  
Pod warunkiem, że odstąpię je wszystkie za jednym razem.

Z poważaniem  
JAROSŁAW BOCHYŃSKI  
45-062 Opole  
ul. Kościuszki 11 m 13

Medal „Za długoletnie pożycie małżeńskie” lub sto sztuk banknotów z końca XIX i początków XX w. odstąpię za następujące numery „Szpilek”:

1980 - 42-45,  
1981 - 2-6, 13.

MAREK T. BARAŃSKI  
Krynki 113,  
27-133 Brody

Moje spotkania ze „Szpilekami” rozpoczęły się w latach sześćdziesiątych. Zacząłem zbierać numery, oprowałem roczniki, bogaciłem bibliotekę satyry, wreszcie napisałem pracę o satyrze współczesnej. Już jako magister filologii polskiej posłałem do „Szpilek” parę donosów, powiększyłem również grono młodych, zdolnych, którzy się nie sprawdzili. Satyrą jak mi się wydaje, dosyć skutecznie zainteresowałem mojego syna. Za to wszystko, dziękuję autorom i redaktorom „Szpilek” i proszę o zamieszczenie następującego ogłoszenia:

„Sprzedam oprowałe roczniki „Szpilek” z lat 1970-1980”

BOGDAN PNIEWSKI  
82-110 Sztutowo  
ul. Zalewowa 10c/4

\* r. 1970 - zawiera numery małe od prima aprilis - 13.

## NIETAKT

Z okazji wyborów we Francji przesyłam zdjęcie Ireny Szewińskiej z prezydentem Valerym Giscardem d'Estaing, który swego czasu wręczył naszej rekordzistce nagrodę Francuskiej Akademii Sportu dla najlepszej sportsmanki świata w 1974 roku. Zdjęcie to ukazuje się w Polsce bodać po raz pierwszy, nie licząc wydrukowania w wydawnictwie „Polski Komitet Olimpijski - The Polish Olympic Committee” wydanego przez COIRT W-wa Mazowiecka 7 (brak daty), z której to publikacji zostało przed wysłaniem za granicę skrzętnie wydarte, ponieważ akurat nie było w nim również zdjęcia innego pana, uważanego wówczas u nas za głowę państwa.

TiB.  
Warszawa



## PARADOKSY DEMOKRACJI

I

Coraz więcej otwiera się nam szkół, w których nauczają demokracji. Mnogość nauczycieli ujawnia, że i demokracje bywają rozmaite. Inaczej ją widzi Kalabiński, inaczej Gaworski; inaczej Modzelewski, inaczej Wojna. W zasadzie ów pluralizm powinien cieszyć. Po latach quasi-jednomyślności narzuconej społeczeństwu przez „Wieczór z Dziennikiem” może sobie ono swobodnie poodychać. Jak się komu dyszeć chce...

Tyle że zwolennicy prawdziwej demokracji radzi by dla niej pozyskać ludzi, ogłupiałych długoletnim praniem mózgow. Która atoli demokracja jest prawdziwa? Głosy są podzielone. Inaczej to widzi Kalabiński, inaczej Gaworski, inaczej Modzelewski, inaczej Wojna. A walcząc w słusznej, bo nakierunkowanej na ozdrowienie narodu sprawie, nie szczędzi każdy z nich sił, by w sporze wygrać. Nie szczędzi sił ni przeciwników, w tym

względnie zgodny jest Kalabiński z Gaworskim, Modzelewski z Wojną. Czyżby wyróżnikiem prawdziwej demokracji była istotnie wrogość wobec ludzi, głoszących poglądy odmienne od naszych?

II

W radiu słucham dyskusji, czy Partii pozostawić rolę kierowniczą czy przewodnią. Jakiś dyskutant z Krakowa (co raz więcej proroków wywodzi się nb. z tego miasta!) uczula na zło, jakiego przysporzyły krajowi czasy, gdy wszystko zależało od omnipotencji „aparatu”, ergo od dyletantów; dyskutant z Krakowa jest za tym, żeby „aparatu” pozostawić problemy obronności, bezpieczeństwa i spraw zagranicznych, resztę zaś naszych spraw powszednich oddać we władanie społeczeństwu.

Efektowna teza: rządy grupki dyletantów zastąpić rządami mas dyletanckich. Pomysł, iżby rządcę-dyletanta zastąpić fachowcem jakoś się dyskutantowi z Krakowa nie nasunął. Wiara w zbiorowość jako jedyną gwarancję prawidłowości działań społecznych będzie jeszcze przez długie miesiące konsekwencją schorzeń, jakie krajowi pozostawiła w spadku ekipa Gierka.

REDAKTOR

### Oto kroczę na czele odnowy!



# SATYRYK NA ROLI

*Cóż, że odwilż – taki klimat  
Pośliznie się, kum podtrzyma*

(JÓZEF MAŁEK)

Na wsi podobnie jak w mieście często można spotkać specyficzny gatunek człowieka zwanego poetą. Każdego, właściwie, przy nie umiერających tradycjach można podejrzewać, że chociaż po cichu rymuje. Ale na złośliwą odmianę poety zwaną satyrykiem nigdy urodzaju nie było, a kielkujące okazy posypywano zwykłe azotoksem, z dobrym skutkiem. Toteż dla ateisty nie jest zrozumiałe, dlaczego w Bożym Darze leżącym pół godziny jazdy na południe od Lublina wyspecjalizował się akurat w tym gatunku Józef Małek, którego satyry rozstawiły amatorski kabaret „Rzep”. Małka do dziś nie zepsuło powodzenie. Nie jest nawiedzony, nie opowiada nikomu we wsi (18 zagród), że ma talent. Mimo że wydał dwie książki, nie uważa, że przestał być pospolitym człowiekiem.

Próbują tłumaczyć uzdolnienia satyryczne Małka tym, że dorabiając do gospodarstwa jako strażnik w telewizyjnej wieży przekaźnikowej, może wejść na tę wieżę, a wszystko na dole robi się wtedy śmiesznie małe. Małek polemizuje z taką genezą jego twórczości, ponieważ zaczął pisać wiersze już w szkole podstawowej, która była pierwszym i ostatnim szczyblem jego edukacji.

Patrzył i czuł głównie potrzebę śmiechu, tego charakterystycznego śmiechu naszego, który wyróżnia się tym, iż jest ciężki. Od początku najlepiej układały się Małkowi nowe teksty do starych melodii, najczęściej ludowych. Gdy kabaret „Rzep” śpiewał je już długo, Małek zmieniał słowa na inne i w ten sposób amatorski kabaret, specjalizując się coraz bardziej w muzycznym wykonaniu starych ludowych piosenek, miał coraz świeższe treści:

*Hej, przeleciał ptaszek  
Nad rodzinny lasek  
Śiwe piórka na nim zdrząły*

*Spojrzał na swój lasek –  
I aż się przstraszył:  
Same krzaki zostały*

W prasie debiutował Małek treściami najbardziej popularnymi. Pierwszy wiersz umieścił w „Gromadzie Rolniku Polskim” w 1957 r., sięgając do popularnej piosenki ludowej:

*Pije Kuba do Jakuba  
Jakub do Michała...  
Michał Kubie dał po czubie –  
Ot, zabawa cała!*

Przeróbki wiersza przynosiły opis zjawisk i przyczyn:

*Pije Kuba do Jakuba  
Jakub pić nie może  
Więc gotowa już rozróżba –  
I Jakuba nożem.*

Oprócz tego, że pisze satyry i etatowo pilnuje w Bożym Darze przekaźnika telewizyjnych treści, jest także Małek rolnikiem gospodarującym na niecałych dwóch hektarach. Wszystkiego

Gdy Małek jechał pociągiem i konduktorka próbowała zarobić na lewo, napisał o tym: *Jestem sobie konduktorka, do swojego ciągnę worka, z każdej trasy przywieźć muszę choć pół raty na kozuszek. Wsi zaczął przysłuchać się z różnych stron. Miał czas na doświadczenia. Mieszka od dzieciństwa przez 46 lat, w tym samym domu po rodzicach. Tylko dom zamienił z drewnianego na murowany. Czy nigdy nie miał ochoty przeprowadzić się do miasta? Nie miał, bo po co? Kiedy zaczęli budować murowany dom, żona chciała, żeby w Lublinie go postawili. Chciała, bo jej krewni tam mieszkają. A jemu po co? Co by on tam robił? Z pisaniami by się nie utrzymał. Tutaj ma trzy źródła dochodu: gospodarstwo, wieżę i poezję. Poza tym przyzwyczaił się do wsi:*

*Myślałem – będę dla innych  
wzorem*

*A jestem wsi pośmiewisko  
Zleciłem bowiem stawić oborę  
Spółdzielczym specjalistom  
Zamiast podłogi kratkę zrobili,  
By krowy stały bez ściółki,*



hoduje po trochu – mówi – a najwięcej Inu. Nie chodzi o to, że mam zamiłowanie do Inu. Po prostu dobrze płacą. A inwestować trzeba. O wszystko co konieczne do gospodarstwa muszę troszczyć się sam. To było i jest może pierwsze, naturalne źródło satyry:

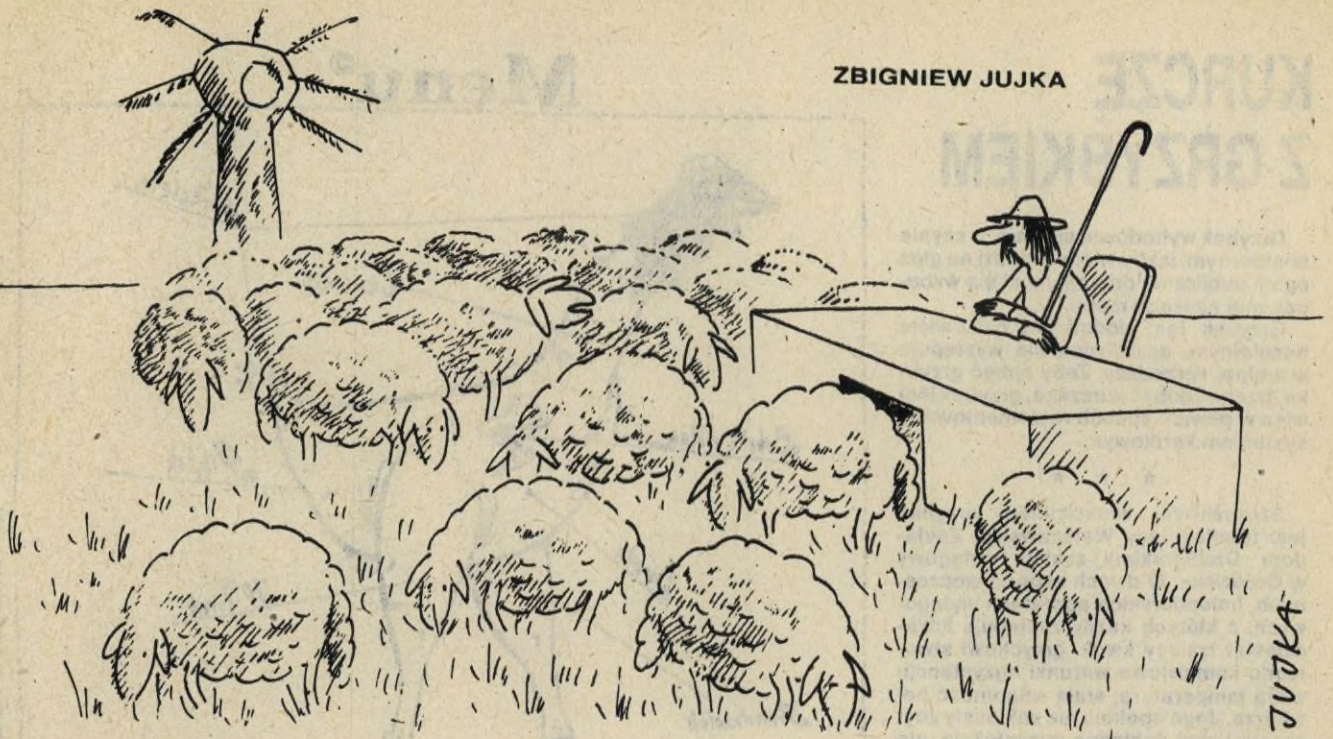
*Poszedł Marek na jarmarek,  
kupił sobie oś,  
Zaraz pękła mu na dwoje,  
bo ją sknocił ktoś,  
Poszedł Marek na jarmarek,  
kupił sobie wóz,  
Mokre drzewo w wozie było,  
stąd dziś w kołach luz.  
(...)*

*Czas najwyższy, aby wreszcie  
taki jarmark znikł,  
aby Marka na jarmarku  
nie kantował nikt.*

*krowy się kładły i moi mili,  
powyrywały se dójki.*

Za granicę Małek nie wyjeżdża. Na wczasach to on przebywa w polu. Ale za to jeżdżą po świecie jego dzieci. Córka była na Węgrzech, a syn w NRD. Podróże po Polsce zawdzięcza Małek kabaretowi „Rzep”. Jeździł jako autor tekstów, które w mniejszych i większych miejscowościach wywoływały śmiechy i zapytania: Kto to tak dobrze ujął? Następnie musiał odbyć wiele nieformalnych spotkań autorskich z widzami kabaretu. Niejednokrotnie czy to w mieście, czy we wsi proszono go, by skrytykował miejscowe wady i podsuwano tematy.

Na pytanie w jaki sposób spędza wolny czas, Małek odpowiada: tutaj, przy tym złodzieju... i pokazuje telewizor. Jedna cecha Małka mająca niewątpliwie znaczenie w twórczości sa-



tyrycznej, rzuca się w oczy. Mianowicie nieufność. To pozwala mu oceniać ludzi, którzy mają wyższe stanowiska niż on; oczywiście wtedy, gdy nie pracuje na wieży przekąznikowej:

**Kulawiaków Jaś magistrem,  
Ale głupi jest jak palec,  
Ja mu ciągle – co, jak – piszę,  
On nie słucha mych rad wcale.  
Franek Mąka profesorem,  
Bliski jest Nagrody Nobla.  
Taki osioł – pod honorem.  
Jeszcze w siódmej z matmy  
oblał.**

Nie widać w domu ani obejściu, aby Małek był chłopem bogatym. W jednej z satyr skarżył się, że nie ma auta. Dawniej pisał dla zabawy, teraz dla zarobku. Kiedy krzczonewski „Rzep” występuje z jego tekstami, Małek dostaje 500 złotych. Dawniej kabaret występował co tydzień i wpadały co miesiąc do kieszeni dwa tysiące. Teraz po dziesięciu latach „amatorskiej” działalności entuzjazm musiał nieco zrzędnać i „Rzep” występuje raz na dwa, trzy miesiące. Za to inni zaczęli wykorzystywać teksty Małka. W gazetach plać. „Wesoły autobus” też zapłacił. Tylko Wojciech Siemion, gdy z moich tekstów korzystał – mówi Małek – ani grosza nie zapłacił.

Władza na niższym szczeblu ma czasem to do siebie, że staje się zjadłą karykaturą władzy na wyższym. To niewątpliwe ułatwienie dla wiejskiego satyryka. Małek nie boi się swojej władzy, ale i władza nie boi się Małka, uważając, że on żartuje:

**Na wiejskie zebranie  
Wyborów sołtysa  
Szedł z teczka wypchaną  
Ktoś z Rady i wzdycha  
– Czemu – dumal Kuba –  
Teczka taka gruba?**

**Rychło się dowiedział:  
W teczce sołtys siedział.**

Satyrę polityczną Małek zaczął pisać, bo była taka potrzeba dla kabaretu. Te tematy ludzi śmieszyły. Ale był kłopot z cenzurą. Raz kabaret wykonał z marszu utwór Małka, świeżo napisany, a potem przyjechali z Lublina. Pytali kto napisał. No, ja napisałem – powiedział. Czy było ocenzurowane – spytali. Nie wiem – powiedział i napisał oświadczenie, że nie wiedział. Sprawa spadła na głowę kierownicze kabaretu. Ona nie miała pretensji – mówi Małek – bo jest na emeryturze, a z kabaretem pracuje społecznie. To było wtedy, kiedy wyszła uchwała o chłopskich emeryturach. Małka zdenerwowało, że kiedy chłop ma 60 lat, wtedy obliczają, ile dochodu wyprowadzają. A poza tym zanim chłop do czeka, aż wylczą, „to pójdzie przed tym terminem na tak zwany wieczny odpoczynek”.

Całego wiersza nie da, bo nie ma. Kiedy ludzie się dowiedzieli, że wiersz wzbudził zainteresowanie w Lublinie zaczęli wydierać go z rąk aż dzieło gdzieś zginęło. Małek dysponuje innymi wierszami satyrycznymi drukowanymi już w prasie:

**Czemu nie siejesz Jasiu  
pszeniczki?  
Nie mam Marysiu z Rady  
wytycznych.  
A bez wytycznych zasiać nie  
możesz?  
Nie, bo gromadzkie plany  
rozłożę.  
A cóż to znowu za ważne plany?  
Plany planowej odmian  
wymiany.  
Więc do GS-u jedź ziarno  
wymień,**

**Żebyś z siewami zdążył  
w terminie  
Jechałbym jechał, chętnie  
wymieniał  
Ale w GS-ie pszeniczki nie ma.  
Jeżeli nie ma, siej własną „Olzę”  
Na naszych glebach plonuje  
dobrze.  
Nie mogę Maryś, bo zbiorę  
grzywny  
Żem polityce rolnej przeciwny.**

Ciągle tylko ta polityka, i polityka, jakby na niej świat się kończył. A czy np. miłość to pies? O miłości też Małek pisze:

**Pan mówi, że wiosna,  
Że świat piękny i śliczny...?  
Szeł wspomniał nam coś tam,  
Ale nie dał wytycznych**

**Pani mówi, że strumyk  
Coś tam szepce i gada...?  
Coś tam szepce...? Rozumiem  
Jutro sprawię bieg nadam**

**Pani mówi, że bałwan  
I idiota szczególnie,  
Proszę pani, jak śmiałym  
Bez zaleceń odgórnych?**

Czasem w satyrach Małka prawda brzmi w sposób równie udany literacko, a ponadto czysty, pozbawiony zabawy, żartu, ironii, przekazujący wprost los najbliższego środowiska:

**Co dzień od świtu do późnej nocy  
człowiek się nosem o ziemię  
wspiera,  
w brudzie rodzina na obiad  
psioczy  
że jedno danie i bez deseru.**

# KURCZĘ Z GRZYBKIEM

Grzybek wyhodował się sam, w czynie społecznym, jakby w odpowiedzi na głos opinii publicznej domagającej się wzbogacenia naszego menu.

Grzybek jest dodatkiem całkowicie bezpłatnym, aczkolwiek nie występuje w wolnej sprzedaży. Żeby nabyć grzybka, trzeba zdobyć kurczaka, grzybek jest więc w pewien sposób reglamentowany systemem kartkowym.

★ ★ ★

Szczęśliwym właścicielem grzybka jest (podlegający Warszawskim Zakładom Drobiarskim) zakład wylęgowy w Grodzisku. W dwóch supernowoczesnych, holenderskich aparatach wylęgowych, z których każdy zastępuje kilkadziesiąt tysięcy kwok, grzybkowi stworzono komfortowe warunki egzystencji: stałą temperaturę, stałą wilgotność powietrza. Jego spokoju nie zakłócały zbyt częste i zbyt dokładne dezynfekcje, nie nachodziły kontrole...

Hojnie mogli sobą obdarzać wylęgające się pisklęta, a także pilnujące je pracownice.

★ ★ ★

Kiedy komuś jest za dobrze, zawsze się znajduje zazdrośnik, któremu to przeszkadza. W roli zazdrośnika w tej historyjce występują hodowcy drobiu, którzy z państwowego zakładu w Grodzisku odbierali pisklęta, by w prywatnych fermach wychować z nich kurczaki. Hodowcy byli zresztą głównie prywatni, co rzuca właściwe światło na ich stosunek do sprawy grzybka.

Grzybek hodowcom się nie podobał. Faktem jest, że symbioza z grzybkiem nie służyła wszystkim kurczakom, co stanowiło pewną przeszkodę w dohodowywaniu ich do wieku rzeźnego. Ale z drugiej strony te, które nie zdążyły przedwcześnie zdechnąć trafiły wraz

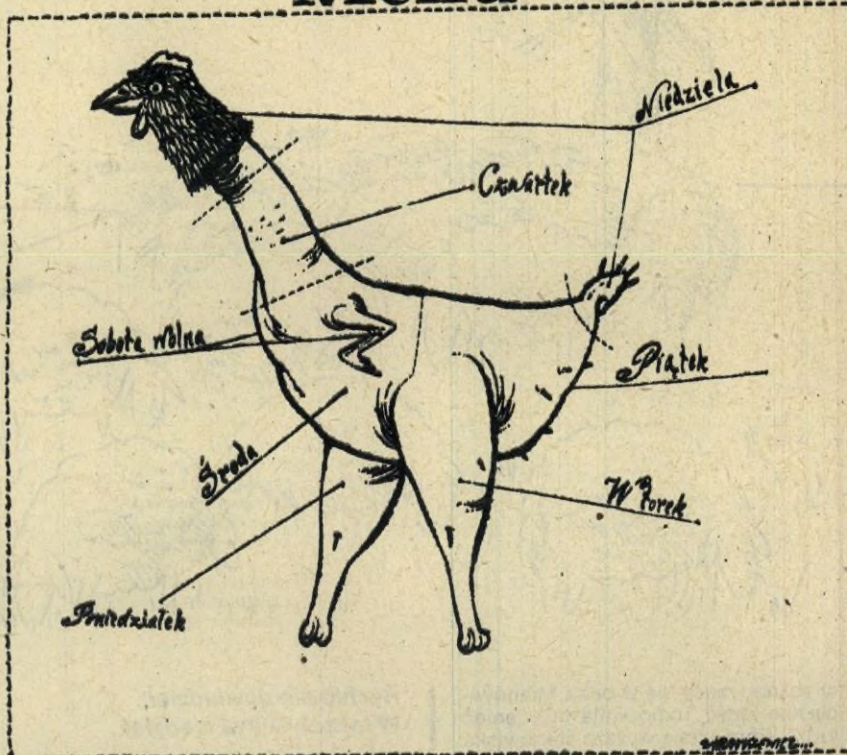
z grzybkiem na nasze nader ubogie stoły. Trudno jednak, nie zważając na użyć tego słowa, od prywatniarza wymagać, by zrozumiał społeczny interes! Do hodowli grzybka nikt im przecież nie dopłacał, wręcz przeciwnie. Oni musieli dopłacać ponosząc koszt padniętego, a przecież przez pewien czas karmionego drobiu. Ci liczący kilka razy każdą złotówkę egoiści, posługując się donosami i nasyłając kontrole doprowadzili do zamknięcia tak znakomicie prosperującego zakładu w Grodzisku.

Dalsza egzystencja grzybka została w ten sposób podcięta.

★ ★ ★

Historia może mieć jednak ciąg dalszy i zakończenie optymistyczne. Być może grzybkowi udało się gdzieś przyczaić i nie wytroplony przez kilkę hodowców drobiu i SANEPID trafi jeszcze na rynek? Być może znowu kupimy aparaty wylęgowe, których nie będziemy umieli porządnie dezynfekować? Być może znowu brudna rzeczywistość dogoni supernowoczesną technikę, co pozwoli na realizację jakże smacznie brzmiącego hasła: kurczę z grzybkiem na każdym stole!

HALINA  
ZIELIŃSKA



ZYGMUNT ZARADKIEWICZ

JAKIŚ DOBRBYT W TYM KRAJU CZY CO?  
JAKBY CORAZ WIĘCEJ ŻARCIA WYRZUCAJĄ  
NA ŚMIECIE



WOJAKIEWICZ

**AGNIESZKA  
OSIECKA**

## **ROZMOWA NIEZAPISANEJ KARTKI Z ZAPISANĄ KARTKĄ**

**NIEZAPISANA KARTKA:**  
A pani to zawsze taka  
smutna.

**ZAPISANA KARTKA:** Ja?

**N.K.:** Ja tego nie rozumiem.  
Zawsze jest jakaś nadzieja,  
jakiś jutro.

**Z.K.:** Jutro?

**N.K.:** No to pojutrze.

**Z.K.:** Ale w moim wypadku?  
Ja?

**N.K.:** Można zmienić format.  
Popracować nad sobą.

**Z.K.:** Stary papier. Niska  
jakość.

**N.K.:** Można się zmienić, zo-  
stać na przykład latawcem.

**Z.K.:** W moim wieku?

**N.K.:** Rozwinąć skrzydła.

**Z.K.:** Pani się śmieje.

**N.K.:** Wytrzeć tamto – gumką  
myszką.

**Z.K.:** Schudnę na śmierć.

**N.K.:** W najgorszym wypadku  
– dostać coś.

**Z.K.:** Coś dopisać.

**N.K.:** Dopisać choćby jeden  
wiersz do tamtego starego  
tekstu.

**Z.K.:** Mówi pani: w najgor-  
szym wypadku!

JANUSZ PIOTROWSKI



# ANDRZEJ CZEKALSKI SŁODKI WAMPIR

Nagle z nieubłaganą szczerością zdałem sobie sprawę, że nadszedł mój czas. Gorzko, gorzko! Jeszcze resztkami siły woli próbowałem jakoś sobie to przetłumaczyć, wyperswadować... „Ty podły draniu... – szeptałem sam do siebie – ... dogadzając niskim zachciankom, brutalnie naruszasz przyjęty układ społeczny. I krzywdzisz, krzywdzisz słabych i niewinnych!” Te piękne, szlachetne słowa nie potrafiły jednak już wzruszać. Uczulem, że przegram raz jeszcze.

Widok za oknem zmuszał do szybkiego działania. Skupiłem całe siły, by raz jeszcze podjąć nierówną walkę. Trzęsąc się dłońią szybko wykręciłem numer telefonu zaufania.

– Halo? – usłyszałem w słuchawce cichy, dobry głos.

– Czuję – spowiadałem się gorączkowo – że popełnię czyn, czyn haniebny, którego w żadnym wypadku popełnić mi nie wolno... Pomóżcie! Poradźcie! Co zrobić?!

W słuchawce coś trzasło i zachrobotało.

– A to pilne? – spytał ten cichy i dobry głos.

– Jeszcze jak!! – wykrzyknąłem. – Tu się liczy każda sekunda!

– To proszę chwilę poczekać – usłyszałem krzepiącą odpowiedź. – Spytam kierownika...

Drżąc całym, czekałem w pokorze. Gorzko, och, jak gorzko!

– Kierownik mówi, że jak pan się wstrzyma to samo przejdzie. Kierownikowi zawsze przechodziło.

– Ale ja nie potrafię się wstrzymać!!!

– To czy ja wiem? – zatroskał się cichy, dobry głos – „Nervosol” dobrze robi...

Cisnąłem słuchawkę. Śmiać mi się nagle zachciało. O innym zupełnie smaku niż ziółowy marzyłem. Posać, szybko posać! Złowrogi instynkt był silniejszy, zrozumiałem, że przegrałem walkę.

Przed wyjściem obejrzałem się dokładnie w lustrze. Nawet łamiąc układy społeczne, trzeba przyjąć pewne reguły gry. Pod żadnym pozorem nie powinienem zwracać na siebie uwagi. Zwykły, szary przechodzień, ot, jeden z takich jakich wielu w tłumie. Po chwili namysłu przykleiłem sztuczne wąsy, podporządkowując się obowiązującym w tym zakresie wymogom mody męskiej. Raz jeszcze z pogardą spojrzałem na moje wiecznienienasycone usta i ostrożnie wymknąłem się z mieszkania.

W piaskownicy starannie wypełnionej żużlem i kapslami po piwie wesoło igrały w słońcu rozkoszne bobasy. Poczulem silne wzruszenie, nad którym jednak natychmiast zapanowałem. Każda próba działania na własnym terenie zwiększała niebezpieczeństwo zdemaskowania.

Starając się opanować rosnący popiech, spacerowym krokiem udałem się na pobliskie osiedle.

Jeden tylko szkrab bez przekonania grzebał w piaskownicy.

Zlustrowałem go baczny spojrzeniem. W zasadzie nie bardzo odpowiadał moim potrzebom lecz wyboru nie było a czas naglił niepokojąco. Tłumiąc popędliwość dokładnie rozejrzałem się po terenie. W pobliżu nie było nikogo, tylko w oknach wieżowca wietrzyła się pościel, łącząc sielskość z nowoczesnością. Poczulem, że poca mi się dłonie. Wolno zbliżyłem się do malca. Postanowiłem unikać, przynajmniej we wstępnej fazie, gwałtu. Rozpaczliwie przywołałem resztki pedagogicznych wtajemniczeń.

– Pójdiesz z wujkiem, aniołku? – spytałem starając się nadać głosowi resztki cennej słodyczy.

Pograżony w swoich dziecinnych radościach nawet nie odwrócił głowy.

– Chodź z wujkiem – kusilem uparcie – Wujek kupi ci wielkiego, kolorowego balona...

Wreszcie raczył się zainteresować

i spojrzał na mnie z piaskownicy dziwnie błękitnymi oczętami.

– Nie chcę balona – powiedział z pogardą w głosie.

– A co chce koteczek? – spytałem z nadzieją w głosie, choć czas naglił, a ssać chciało się coraz bardziej. – Powiedz tylko a wujek kupi!

W jego błękitnych oczętach pojawił się cień cichej nadziei.

– Kup mi Miłosza! – powiedział stowarzyczo.

Minęła długa chwila nim zrozumiałem, że nieszczęśliwie trafiłem na przypadek dziecka przyspieszonego w rozwoju. Zapewne matka w okresie brzemiennym lekkomyślnie spożywała nadmierne porcje marchewki uprawianej przy pomocy sztucznego nawozu. Cóż miałem począć? Mogłem podstępnie obiecać mu balon, konia na biegunach, okręt a nawet helikopter, lecz są granice, których nawet kłamiąc przekroczyć nie wolno. Chciałem odejść bez słowa, ale po namyśle postanowiłem pozwolić sobie na małą ironię.

– Za Miłosza, kochanie – powiedziałem z przekąsem – to wujek może mieć dużo lepszego chłopczyka.

Ukloniłem się niezręcznie i pelen niespokojnych nadziei ruszyłem na dalsze poszukiwania.

Gorzko, ach, jak bardzo gorzko! Na samą myśl o ssaniu w ustach zbierała się zła ślina. Rozpacz ogarniała na myśl, że nikt nie zrozumie moich cierpień.

Sądząc z obliczeń, czasu zostało już niewiele. Okoliczności sprzyjające sprawie za chwilę mogły minąć bezpowrotnie.

Bez tchu prawie przebiegałem obok pustych piaskownic i wyludnionych placików do zabaw. Gdzieśgdzie zdarzały się wprawdzie pojedyncze egzemplarze dziecięce, lecz zawsze pod czujnym baczeniem dorosłych.

Rozpacz złapała mnie za gardło. Jak żalony byłem w tej beznadziejnej gonitwie za zakazanym spełnieniem. Czulem zbierające łzy, gorzkie łzy...

I wtedy nagle, nie wierząc swemu szczęściu, dojrzałem czerwony wózek ukryty w zaułku bramy. Zawsząd wiało pustką, ciszą i spokojem. Podszedłem na palcach i nachyliłem się z nadzieją. W różowej podusi niewinnie spał rozkoszny osesek niewiadomej płci. Płec, przyznam szczerze, nie miała dla mnie znaczenia. Jego rączyny, które nie zdążyły jeszcze nikogo skrzywdzić, bezbronne zaciskały się na pieluszkach. Był chudy, drobny, cóż wspanialszego mogłem sobie wymarzyć!

Szybko porwałem maleństwo na rękę i biegiem ruszyłem ku spełnieniu. Czulem nieuchwytny zapach pieluszek, zapach szczęśliwego dzieciństwa. Na mojej piersi ufnie biło drobne serduszko.

Gorzko! Gorzko! Ssanie, coraz bliższe już ssanie! Jeszcze raz dopisało mi szczęście. Zdążyłem!

Szybko wbiegłem do sklepu i po chwili z niemowłębem na rękę, kupiłem bez kolejki pół kilograma cukierków.



Antoni Chodorowski



# KRYZYS MYŚLENIA

Dużo się ostatnio mówi o etyce dziennikarskiej, jakby było o czym. Pewien odłam dziennikarstwa dopiero niedawno zwąchał, że coś ta odnowa przybiera charakter stały i najwyższy czas się przepoczwarzyć. Nagle próbują myśleć logicznie, a ponieważ jest to nieco powyżej ich możliwości, więc wynik ich pracy może już nie tumani, a tylko śmieszy i przestrasza. Niedawno usłyszałem w radiu, jak ktoś rozprawia się z rybołówstwem. Cytuje: „Nie jest dla nikogo tajemnicą...” Tu drobna uwaga – takim wstępem opatrzuje się ostatnio wyłącznie informacje, które w istocie były tajemnicą, czego najlepszym dowodem jest, że nikt o nich nie wiedział. Cytuję dalej: „... że nasze statki rybackie pływające na Morzu Północnym nie łowią ryb, tylko skupują śledzie i dorsze od innych, zagranicznych statków, łowiących w tamtej okolicy. Jest to koszmarny absurd!” Ucieszyłem się, bo faktycznie absurd, więc i dziennikarz bystry. I co usłyszałem za chwilę: „... koszmarny absurd! Przecież nasze statki rybackie mogłyby pływać na Morze Śródziemne i skupować znacznie tańsze i smaczniejsze tuńczyki.” No... tak.

Inna sprawa, że Polak powi-

nien umieć myśleć specyficznie. To, co na całym świecie – no, może prawie całym – byłoby nonsensem, u nas sprawdza się znakomicie, i odwrotnie. Na świecie dąży się do zlikwidowania łapownictwa.

Ponieważ u nas jest to niemożliwe, należy dążyć do upowszechnienia łapownictwa. Gdyby każdy obywatel za wszystko musiał dawać łapówkę, to ostateczny bilans byłby zerowy, ponieważ wszyscy jesteśmy sobie potrzebni.

Oto na przykład krótki schemat zależności między górnikiem a drukarzem. Drukarz ma w domu piec, więc daje łapówkę w punkcie sprzedaży węgla, kierownik punktu te same pieniądze daje dysponentowi wojewódzkiemu od węgla, ten daje w ministerstwie, żeby o nim nie zapominali, ministerstwo wręcza dyrekcji kopalni, żeby było z węglem jak należy, dyrekcja da górnikowi, żeby mu się chciało wydobywać.

Górnik po pracy zechce przeczytać gazetę, daje więc kioskarkę, żeby odiożyła, kioskarka wręczy kopertę kolportażowi, żeby przydzielił. Kolportaż odpali dyrekcji drukarni, żeby wszystko było na czas, a dyrekcja posmaruje drukarzowi, żeby mu się chciało złożyć numer. Pieni-

SZLAG CZŁOWIEKA  
BIERZE, ŻE NIE WYKORZYSTAŁ  
TAKICH MOŻLIWOŚCI...



JACEK KILIŃSKI

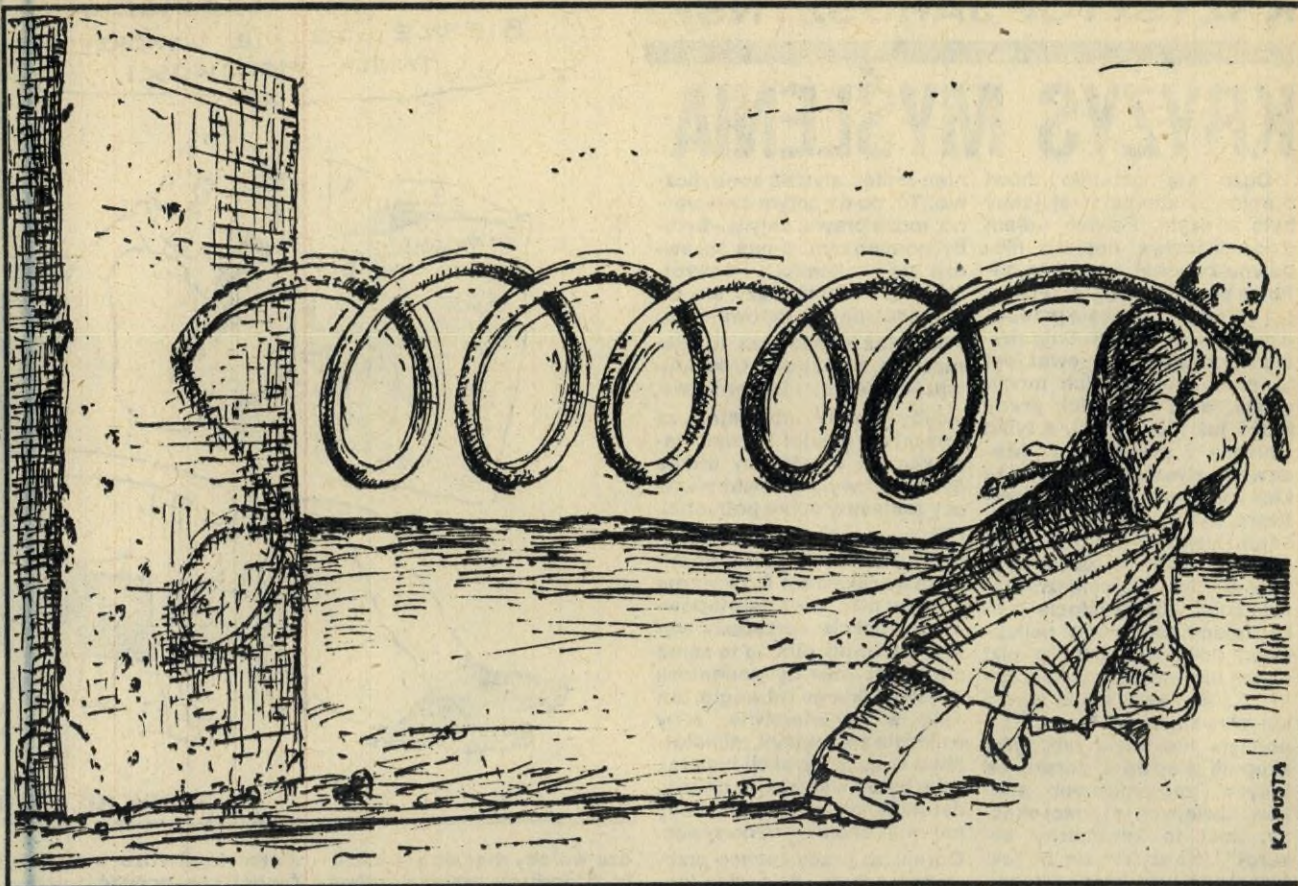
dze wróciły więc do właściciela. A kiedy się przyzwyczajamy, nawet te wędrowki pieniędzy nie będą męczyc. Ktoś niedawno tłumaczył mi, że takie życie stałoby się łatwiejsze. Bo oto za kilka lat autor wszedłby do cenzury z wierszykiem i bombonierką. Oraz kopertą. „Mam tu... widzi pani... taki

wierszyk. Bardzo mi zależał. Zechce pani przyjąć to skromne...” No bo jak wszyscy, to wszyscy. Przecież w kraju, gdzie nic nie działa normalnie, jedna instytucja nie może się wylamywać. Trzeba więc myśleć inaczej, wprowadzić nie tak, jak dawniej, ale i nie tak, jak gdzieś indziej.

## SKARB W GARNCU



ANDRZEJ CZYZYŃSKI



## DZIENNIK ZAŻALEŃ



handlu kolportowali pogłoskę, że do Delikatesów rzucono podgardlanekę i potem to się nie potwierdziło. Propaganda sukcesu jeszcze ciągle funkcjonuje.

Ta uwaga lekko dotknęła Zyzia.

- Informacja pochodzi z poważnego źródła - rzekł chłodno. - Nie wiem co rzucono, ale fakt nie ulega wątpliwości. Zaraz tu przyszedłem, nie wdając się w szczegóły.

- W porządku - powiedziała baronowa Sołowiej-

czyk. - Idziemy. Tylko trzeba zabrać ze sobą worki i butelki, bo to coś może być albo sypkie albo w płynie. Żeby nie znaleźć się w niezręcznej sytuacji.

Włożyliśmy butelki do worka.

- Wezmę walizeczkę? - zaproponował mgr Kąkulczyński.

- Weź - zgodziliśmy się. - Może się przydać w razie czego. W końcu sytuacja jest niejasna.

Wyjaśniło się jeszcze przed rogiem Żurawiej, bo

spotkaliśmy Pataszońskiego juniora.

- Podobno coś rzucono na Żurawiej? - zapytała baronowa Sołowiejczyk.

- Owszem - rzekł Pataszoński junior w czynnie społecznym. - Ulotki. Precz i Niech żyje!

Zawróciliśmy.

Ciągle mamy za dużo papieru i to nam dezorganizuje życie.

*Meyan*

## POGŁOSKA

Rozeszła się pogłoska, że coś rzucono na Żurawiej.

- Co? - zapytała baronowa Sołowiejczyk.

- Nie wiem - powiedział Zyzio, który przyniósł informację z miasta. - Co za różnica? Trzeba lecieć.

Zaczęliśmy się zbierać.

- Z tym, że oczywiście może to być tylko plotka prorządowa - powiedział Bezpalczyk. - Przedwczoraj pracownicy wydziału

## ROMAN GORZELSKI

### MIĘDZY SWOIMI

Nigdy stół nie kopie stołu  
A wół nie obmawia wołu.

### O KOŁOWROTKU

Jak miły ten początek -  
Powiedział i... stracił wątek.

### NA KRÓLEWSKIEGO BŁAZNA

Ma nieprawdę dla gazet, a prawdę do ucha,  
By - kiedy zmiana tronu - móc udawać zucha!  
Okulbaczy sumienie, jak starą kobyłę,  
A gdy trzeba - pan każe! - znowu chodzi tyłem:  
I tak to sprytny błazen słodko z władzą grucha...



RÓB CIE  
MIŁOŚĆ  
A NIE  
STRAJKI

DZIEŃ DOBRY  
PANIE RAKOWSKI



# **PIOSENKA**

---

## **DLA PIOTROWSKIEGO**

---

### **POETY**

---

*Weź ty się ożeń poeto Piotrowski  
chodzisz tak chodzisz po tym Krakowskim...  
Daj się namówić co ci w końcu szkodzi?  
Ludzi w aniołów nie przerobisz*

*Miał rację kiedyś  
mądry Pascal Błażej  
mówiąc że człowiek to tak jakby  
w istocie swej  
jest trochę świnia  
a trochę boskim serafinem*

*Kwaszą się na zgagę  
ryzlingowe kwachy  
u Hopfera siedzą  
cztery Himilsbachy  
siedzą nic nie jedzą  
czasem tylko basem  
czasem tylko basem  
sobie zaśpiewają:*

*Stachuro, Stachuro!... ty już idziesz górą  
a nam tu w dolinie gorzko i ponuro...!*

*Weź ty się ożeń poeto Piotrowski  
może cię która jeszcze weźmie  
i przestań lazić po tym Krakowskim  
bo wpadniesz w jakąś schizofrenię  
Choćbyś krwią pisał  
wszystkie swoje wiersze  
na welinowym glanzpapierze  
ludzi w aniołów i tak nie przerobisz  
bo już poezja ich nie bierze*

*Kwaszą się na zgagę  
ryzlingowe kwachy  
u Hopfera siedzą  
cztery Himilsbachy  
siedzą nic nie jedzą  
czasem tylko basem  
sobie zaśpiewają:*

*Stachuro, Stachuro!... ty już idziesz górą  
a nam tu w dolinie gorzko i ponuro...!*



# ANDRZEJ GARCZAREK

## NOCNY COWBOY

Maciejowi Zembatemu

*z programem ostatniej gonitwy w kieszeni  
modliłeś się, prosząc o śmierć bukmachera  
w tancbudzie, gdzie „Słońce Jamajki”  
ktoś z szafy  
grającej bez przerwy  
wybierał...*

*splukany doszczętnie jak kłaczek ryżawy  
w pisuar miejskiego szaletu strącony  
przekleństwem kaprała besztaleś swój niefart  
i miłość spóźnioną  
do koni*

*powiedział ci Murzyn-albinos z Zalesia  
Górnego  
bo w Dolnym nie chcieli go znać  
że blues to jest wtedy  
gdy człowiek zbyt często  
zmuszany jest dawać  
nie brać*

*że życie, to trzeba tak krótko, przy pysku  
za uźdę  
i batem w galopie po zadzie  
bo życie to w końcu hipodrom  
nic więcej  
– pewniakom nachyla wiraże.*

ilustr. JULIAN BOHDANOWICZ





Światowe życie

ANNA  
LECHICKA

## ... ŚWIAT JEST TAKI CIEKAWY...

Różne drobne wiadomości prasowe, stanowiące jakby rozrywkowe przerywniki w powodzi coraz bardziej dramatycznych relacji ze świata, przynoszą czytelnikowi pewne wytchnienie, świadomość, że poza dramatycznym tokiem wydarzeń, rzecz by można normalnym, do którego już przywykliśmy, istnieje cały świat, coś w rodzaju teatrzyku jednego widza, czyli relacje o sprawach odbiegających od schematu, o dziwactwach, upodobaniach i sprawach czysto indywidualnych, świadczących o nieograniczonych możliwościach i wariantach ludzkiej prywatności, jakże niezależnej od mód, prądów i wstyku, co pachnie zbiorowością, uniformizmem zachowań. Jeśli więc państwo chcą oderwać się od kryzysów, inflacji, bezrobocia, drożyzny, strajków, aktów terroru, wszelkiej agresji i bezprawia, czyli inaczej mówiąc, jeśli chcecie odwrócić swą uwagę od codzienności świata 1981 – poczytajcie rubryki drobne, jakże barwne, zwłaszcza w prasie zachodniej.

Oto pani H. mieszkanka Paryża kocha ponad wszystko swego żółtwa, imieniem Rana. Uczucie to jest ponoć w pełni odwajemnione i pani H. nie czuje się już samotna spędzając godziny w Parku Luksenburgskim w towarzystwie Rany trzymanej na czerwonej skórzanej smyczy. Żółtwa ma też ponoć lęk przed samotnością, szalenie jest towarzyska i spija w łóżku, obok swej pani. Pani jednak nie mogła spać spokojnie, myślała bowiem o przyszłości Rany. Żółtwe żyją długo, dłużej od swego właściciela („dobiegam swoich lat”). Jak zabezpieczyć przyszłość Rany? No i tak powstał, chyba pierwszy testament na rzecz żółtwa. Ustanowiono prawnego kuratora, Rana otrzymała dożywocie (na kilka pokoleń chyba). „Mogę odejść spokojnie” – oświadczyła pani H.

A oto inna, tym razem raczej „starsza pani bez godności”. Ponoć niektórym mocno starszym osobom zdarza się choroba, którą nazwać by można galopującą kleptomanią. I tak sympatyczna siedemdziesięciolatka z Göteborga przez kilka lat wynosiła co się dało z wielkich magazynów i dopiero ostatnio powinięła jej się noga, a wezwana przez personel sklepowy policja udala się do jej mieszkania. Ku ogólnemu zdumieniu, trzy pokoje, kuchnia i łazienka zawalone były od podłogi po sufit paczkami konfekcji, bielizny, futer, bibelotów. Pomiedzy paczkami, z których większość była nawet nie rozpakowana, starsza pani porobiła małe ścieżynki, po-



zwalając jej się poruszać, choć z trudem, po mieszkaniu. Policja potrzebowała czterech dni na opróżnienie apartamentu, który, ogołocony, stracił zapewne dla swej właścicielki cały urok, przytulność, bezpieczeństwo zamożnej przystani. Przy czym, jak wspominałam, starsza pani kontentowała się samym faktem posiadania, nie odczuwając potrzeb konsumpcyjnych, używania kradzionych dóbr...

Angielski „Guardian” przyniósł szczegóły zatargu jątrzącego społeczeństwo miasta Radstock. Oto pan Fred Holroyd, miejscowy milioner, którego fabryka produkuje maszyny do produkcji słynnych kiełbasek, umieścił na gmachu przedsiębiorstwa ogromny sztandar z wymalowanym na nim obiektem swej fortuny: gigantyczną kiełbasą. Władze municypalne doszły wszelako do wniosku, że kiełbasa powiewająca nad centrum miasta sprawia niepoważne wrażenie, ośmieszając Radstock, zwłaszcza wobec przyjezdnych. Wybuchł spór. Przedstawiciel firmy Holroyd wyraził swe przykre zdziwienie takim postawieniem sprawy, uważając, iż przedsiębiorstwo znakomicie prosperujące winno mieć swój emblemat, a cóż może on w tym wypadku przedstawiać, jak nie bohaterkę całej sprawy – kiełbasę. A przecież kiełbaska brytyjska stanowi symbol angielskiej „way of life”. Właściciel firmy zastąpił też plakietkę na masce świeżo zakupionego Rolls Royce'a kiełbaską wyrzeźbioną w srebrze, dając w ten sposób dowód, iż nie wstydzi się przedmiotu swych uczuć... Dyskusja trwa.

Prasa lubi snuć (za naukowcami) rozważania na tematy historyczne. „Czy Aleksander Wielki był pijakiem?” – zastanawia się magazyn „Newsweek” przypominając zażarty spór naukowy na ten temat. Spór spowodował profesor O'Brien, który po latach mroźczej pracy doszedł do wniosku, że wielki zdobywca z czasów starożytnych wykazywał w ostatnich latach swego życia klasyczne symptomy ostrego alkoholizmu. Dlatego zniszczył niepotrzebnie Persepolis, co wynikało ze zbyt gorliwie oblewanego zwycięstwa nad Persami. W dwa lata później, w ataku pijackiej furii zabił swego starego przyjaciela Calitusa, a po otrzeźwieniu próbo-

wał popełnić samobójstwo. Wszystkie te supozycje profesora Grecja odrzuciła z najwyższym oburzeniem, powołując się przy tym na naukowców broniących Aleksandra Macedońskiego przed niecnymi posądzeniami. Zważywszy, iż rzecz działa się w okolicy roku 330 przed naszą erą, słabe są szanse na znalezienie świadków mogących w pełni wyjaśnić sprawę.

„Czy Schopenhauer był punksem?” – zastanawia się z kolei „Le Monde”. Autor twierdzi, że punksi reprezentują pesymizm kontemplacyjny, charakteryzuje ich skłonność do sztyrdstwa oraz uwielbienie dla muzyki. Kubek w kubek jak Schopenhauer, co świadczyłoby, że jest on jak gdyby ojcem duchowym ruchu punków. Schopenhauer bronić się nie może, a wywód pozwala amatorom na dalsze drażnienie tematu.

Optymistyczną wieścią jest fakt podjęcia badań naukowych nad właściwościami antywirusowymi wina. Kilku naukowców (którzy jak podkreśla prasa – nie są właścicielami winnic) jest zdania, że wino, i to przede wszystkim czerwone, niszczy wirusa kataru febry i kilku innych przypadłości. Doktor Maury opublikował pracę pt. *Leczenie się winem*, twierdząc, że poza chorobami wątroby, wino pomaga na wszystko. Jeśli jesteście uczuleni na poziomki, pisze dobry doktor, po prostu trzymajcie je przez 20 minut w czerwonym winie, a zapomnicie o alergii!

Na zakończenie informacja również optymistyczna. W czasie wielkiej parady jazzu, poświęconej pamięci Lionela Hamptona, odbyła się jam session starszych panów. Pomiedzy nimi wyróżnił się wigorem weteran jazzu Eubie Blake, który ukończył 95 lat jazzowego życia i gra nadal!

Tak więc, proszę Państwa, odrywajmy się od czasu do czasu od spraw wielkich, by pograć się w śmiesznych, małych drobiazgach. Jak to pisał Galszyński w balladzie o „Samotnej pompie”:

*Są aktualne sprawy,  
kraj jest taki ciekawy  
wg Jerzego –  
a mnie ta pompa, po co?  
ta pompa – dniami i nocą,  
dlaczego?*

# Z paryskich wspomnień

## LESZEK KOŁODZIEJCZYK

# NIE DOŚMIECHU

Późną jesienią 1979 r. francuska policja odnalazła w bagniskach jednego z podparyskich lasów zwłoki topielca. Należały one za życia do ministra pracy w aktualnym rządzie: Roberta Boulina. Hipoteza morderstwa została szybko wykluczona. Na biurku ministra odnaleziono kopie listów wysłanych w przeddzień do przyjaciół a wyjaśniających przyczyny desperackiego kroku. Robert Boulin popełnił samobójstwo. Wychodząc późną nocą z Ministerstwa wziął ze sobą środki nasenne, pojechał kilkanaście kilometrów do pobliskiego lasu, pozostawił sa-

Znałem osobiście Roberta Boulina, miałem okazję rozmawiać z nim wielokrotnie. Był człowiekiem bardzo ambitnym. Piastował od kilkunastu lat różne funkcje ministerialne pod prezydenturą de Gaulle'a, Georges'a Pompidou i Giscarda d'Estaing. Był także cenionym i lubianym przez mieszkańców merem jednego z miast w południowo-zachodniej Francji, w Garonne. Gaullista, uczestnik ruchu oporu z lat wojny cieszył się względami nawet swoich przeciwników politycznych. Umiał z nimi rozmawiać. Był człowiekiem dialogu. Mówiono, że Vale-



de'u". Niczego konkretnego w tych artykułach Robertowi Boulinowi nie udowodniono. Ale poszedł za nimi smród. Powstał krąg podejrzeń, plotek, przypuszczeń, o których don Basilio śpiewał, że rosną, że opłatają... Nazajutrz po tym, jak we wspomnianym „Mondzie” znalazł się artykuł na jego temat poszedł w stronę bagnisk podparyskiego lasu i popełnił samobójstwo. Wołał śmierć, niż podejrzenia. Napisał w liście pośmiertnym, że ten, który służył de Gaulle'owi, który walczył o pewną ideę Francji nie może być w kręgu podejrzeń, nawet – jeśli wewnętrznie – jest pewien swojej niewinności.

Czytałem kopie pozostawionych listów, pełne gorzycy. Słyszałem przez francuską telewizję wywia-

dy, których udzielał członkowie rodziny Roberta Boulina. Rzecz jasna – przedstawiały denata w najszlachetniejszym świetle. Bronił się także przed telewizją Henri Tournet, dowodząc, że transakcji dokonał *lege artis*. Kanalia została potem skazana na siedem lat więzienia, ale już jej nie było we Francji: osiedlił się na Balearach i dobrze mu się żyje.

Nie wiem i chyba się nigdy tego nie dowiem, czy Robert Boulin miał czyste ręce, czy kupował działkę w Ramatuelle w dobrej wierze, czy w wykorzystaniu swojej funkcji (notabene: gdy tę działkę nabywał nie pełnił funkcji ministerialnych), nie wiem czy się wmanewrował czy był wmanewrowany – wiem tylko, że wołał śmierć niż podejrzenia...



mochód, siedł dalej pieszo, aż zatoczył się i wpadł do bagna.

Nie było też wątpliwości co do przyczyn, które skłoniły Roberta Boulina do tego kroku. Wyjaśnił je w pozostawionych listach. Zapłacił się w aferę z daczą w Ramatuelle, na Lazurowym Wybrzeżu. Parę lat wcześniej kupił od swojego przyjaciela, niejakiego Henryka Tourneta, dwuhektarową działkę pod Ramatuelle. Zapłacił tanio: 40.000 franków, gdyż ochrona środowiska zabraniała zabudowy terenu, na którym ta działka się znajdowała. Miały tam rosnąć pinie i opuncje. Wyrosła dacza ministra: 200 metrów kwadratowych. Momentalnie cena działek wzrosła wielokrotnie. Henry Tournet, właściciel tych działek zrobił na nich kolosalny interes.

ry Giscard d'Estaing widział w nim przyszłego premiera. Potknął się o daczę. W pozostawionych listach udawał, że był niewinny; że został wpiątany w aferę Ramatuelle; że kupował działkę w dobrej wierze, że zapłacił za budowę – nawet nie willi – lecz nadmorskiego bungalowu 650 tys. F.; że ma wszystkie rachunki; że łaźienki nie wykładał glazurą; że został wmanewrowany przez Tourneta, opuszczony przez swoich partyjnych kolegów – ministra sprawiedliwości Peyrefitte'a – którzy ani nie chcieli go wysłuchać, ani interweniować w bieg sprawy... W rezultacie, wskutek niedyskrecji wymiaru sprawiedliwości, sprawa przeniknęła na łamy prasy, do „Canard Enchaîné” do tygodnika „Minute”, na szpalty dostojnego „Mon-



rysunki: „ICI PARIS”



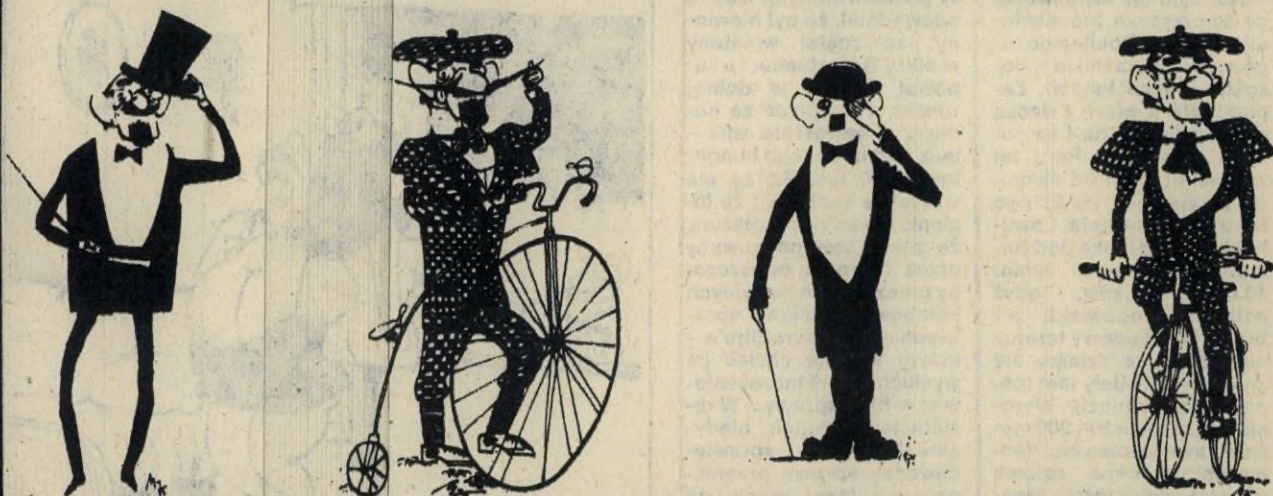
## WODZIREJ SKOŃCZYŁ BAL

Miałem szczęście być dyrektorem Ludwika Sempolińskiego. Ostatnim z jego dyrektorów. Widziałem go w pracy, do której czasem brakowało mu już sił. A przecież zawsze umiał je odnaleźć – gdzieś w trzecim jestestwie swego wątego ciała, któremu światło scenicznych reflektorów zdawało się wracać młodość. Bo praca była głównym umiłowaniem Ludwika Sempolińskiego. Pojmował ją wedle reguł tego umarłego teatru, o którym my możemy sobie już jedynie poczytać. On nimi żył. Punktualność, obowiązkowość, szacunek dla publiczności, kobiet i zwierzchników. Kiedy wstawał, gdy do jego garderoby wchodziło dziewczę, to mogło świadczyć o staroświeckiej kindersztubie. Ale on – sędziwy artysta o wielkiej pozycji unosił się z krzesła, gdy do garderoby zaglądał jego dyrektor, co zresztą kazało niżej podpisanemu wślizgiwać się tam podstępny skrzętem, by Profesor nie zdążył wykonać rytualnego gestu, jaki został mu w spadku po duchach Kotarbińskich, Trapszów i Solskich...

Prawdziwym uczuciem darząc jedynie teatr różnicował Sempoliński barwy swoich emocji. Kochał i nienawdził. Kochał Łazukę zaplakując się nad meandrycznym charakterem swego ucznia i pupila. Nienawdził Tadeusza Olszy. Aż za grób. Ślady w memuarach pana Lunia. A powód? Chyba ten, że Olsza, z którym kolegował się w „Morskim Oku” u Własta, zdołał sobie zaliczyć staż w „Qui pro Quo”. Sempoliński grał wszędzie i z wszystkimi – z Messalką, Kawecką, Zimińską, Ordonką, Zniczem i Wyrwiczem. Ale „Qui pro Quo” jakoś przeszło mu bokiem, czego nie mógł odżałować, choć się nigdy do tego nie przyznawał...

Myślę, że właśnie dynamizm uczuć pozwalał sędziwemu mistrzowi zachować witalność ponad 80-kę. Co nam z kolei pozwalało podziwiać kunszt Sempolińskiego w estradowym aktorstwie, które potrafił awansować do wymiaru prawdziwej sztuki. Opisywali ją już liczni, a i pamiętają chyba wszyscy. To mnie zwalnia od serwitutu recenzenckich analiz, w które i tak nie sposób zamknąć jego pełnych powabu, dowcipu i szarmu miniatur. Od chaplinady „Wąsika” po fine-de-siecle’owego welocypedystę. „Mazurkiewicz, bój się Boga!” To strasznie smutne, że ta lista ról już została nieodwołalnie zamknięta...

WITOLD FILLER



rys. Edmund Mańczak



**MACIEJ  
KARPIŃSKI**

# WYSOKI ZAMEK

Stosunkowo mało interesują się fantastyką naukową i niewiele książek z tej dziedziny czytują, toteż muszą uwierzyć na słowo Lechowi Jęczykowskiemu, który zapewnia w postłowie do przełożonej przez siebie powieści **CZŁOWIEK Z WYSOKIEGO ZAMKU**, że jej autor **Philip K. Dick** „jest jednym z najwybitniejszych, może najwybitniejszym pisarzem, jakiego wydała amerykańska i światowa fantastyka naukowa”. Gdyby *Człowiek z Wysokiego Zamku* był zwykłą powieścią s-f zapewne także bym po nią nie sięgnął, rzecz w tym, że nie jest. Myślę, że bardziej pasowałby tu termin „fantastyka historyczna” albo zgoła „fantastyka polityczna”. Jest to rodzaj literatury bardzo dziś na Zachodzie modny i sądzę, że książka Dicka jest ciekawym przyczynkiem do jego poznania.

*Człowiek z Wysokiego Zamku* to ni mniej ni więcej wizja tego, jak potoczyłyby się losy ludzkości – ze szczególnym, rzecz jasna, uwzględnieniem Stanów Zjednoczonych – gdyby Niemcy, Włochy i Japonia wygrały wojnę i sięgnęły po panowanie nad światem. Akcja powieści toczy się w późnych latach pięćdziesiątych: Europa jest w niepodzielnym władaniu Niemców, Azją zaważnęła Japonia, natomiast Ameryka podzielona jest między te dwa mocarstwa. San Francisco (i okolice) będące głównym miejscem akcji, znalazły się w strefie japońskiej. Autor kreśli więc obraz okupacji japońskiej, trzeba przyznać, bardzo cywilizowanej i kulturalnej. Tak dalece, że Amerykanie

– bohaterowie książki – albo się z nią pogodzili całkowicie i poszli na współpracę, albo też napawa ich ona goryczą i smutkiem, lecz nawet w takim przypadku nie budzi żadnych buntowniczych uczuć. Zresztą nawet ze strefy niemieckiej, gdzie reżim jest znacznie cięższy (obozы koncentracyjne w okolicach Nowego Jorku) nie dochodzą wieści o jakiejś kontestacji. Według Philipa K. Dicka naród amerykański dość łatwo pogodziłby się ze swym losem.

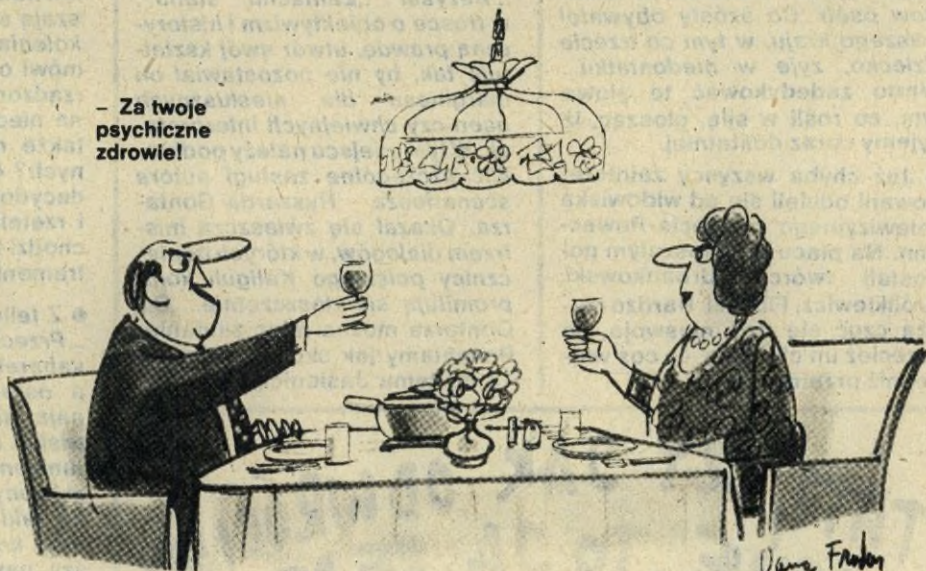
nizsze: Chińczycy oraz sprowadzeni ponownie do stanu niewolnictwa Murzyni.

Trzeba przyznać, że wizja to dosyć egzotyczna. Najciekawszy w powieści jest zresztą ów przewrotny wątek „książki w książce” konstruującej świat znany czytelnikowi, lecz również z pewnymi modyfikacjami. Autor zakłada tam ciekawy przebieg wypadków wojennych a nawet tych, które wojnę poprzedziły (np. zamach na prezydenta Roosevelta) i z literackiego

uśmiech, lecz trudno byłoby stawić zarzuty tego typu serio, zważywszy że rzecz należy jednak do gatunku science-fiction, a więc – co by nie powiedzieć – jest swoistą zabawą pisarską (choć nieświeżość może bardzo poważne treści i *Człowiek z Wysokiego Zamku* mimo wszystko stara się to czynić) ponadto zaś to, że książkę tę czyta się jednak z niesłabnącym zainteresowaniem.

Muszę powiedzieć, że przy tej lekturze budzi się ochota na przeczytanie po-

– Za twoje  
psychiczne  
zdrowie!



Jest to zresztą, przynajmniej w japońskiej strefie, los wcale nie najgorszy. Wprawdzie Japończycy trochę się panoszą, ale jest wśród nich wielu ludzi o wysokiej kulturze, zafascynowanym amerykańską cywilizacją, a ponadto bardzo nie lubiących Niemców. Do tego stopnia, że zakazana przez Niemców książka, ukazująca... wizję tego, jak potoczyłyby się losy świata, gdyby Niemcy i Japonia wojnę przegrały, w strefie japońskiej dostępna jest w każdym kiosku z gazetami, w dodatku z reklamową adnotacją, że u Niemców jest zakazana... W życiu codziennym obywatele okupowanego kraju nie doświadczają przesadnie wielu przykrości, tym bardziej, że pod ręką są jeszcze dwie kasty

punktu widzenia to przenikanie się światów, podważające wszelkie definicje „realności” i „fikcji” sprawia największe wrażenie.

Autor owej „książki w książce” nazywa się Abendson. To on jest tytułowym *Człowiekiem z Wysokiego Zamku*. Rzecz w tym, że Niemcy tak bardzo go nie lubią za to, co o nich napisał, że najchętniej by go sprzątnęli za karę, mimo (!) że mieszka w sojuszniczej strefie. Jednakże, jak głosi pogłoska, pisarz obwarował się w dobrze zabezpieczonym domu („Wysoki Zamek”), nabył broń, więc... gestapo nie ma do niego dostępu i musi z daleka bezradnie zgrzytać zębami.

Takich kwiatków znajdujemy w książce Dicka więcej. Budzą one niekiedy

dobnej książki, powstałej w naszych warunkach. Myślę, że wszelkiego materiału do spekulacji takich, jakie czyni pisarz amerykański, z pewnością by nie zabrakło, trzeba by tylko zdobyć się na trochę więcej dystansu, na oderwanie się od wszechobecnego schematu patriotyczno-martyrologicznego w traktowaniu historii, słowem – tego wszystkiego, co umożliwia tworzenie gatunku „fikcji historycznej” czy „politycznej”. Bo przecież książki takie, jak *Człowiek z Wysokiego Zamku* Philipa K. Dicka, choć błędzą w „światach równoległych” jako swe główne zadanie traktują przecież mówienie o tym świecie i tym społeczeństwie, jakie dostępne są ich czytelnikom.

## ŻYCIE UMYSŁOWE

● We Wrocławiu – po uprzednim wyłaniu dyrektora Teatru Lalek ogłoszono na to stanowisko ogólnopolski Konkurs otwarty. Niestety, nikt w ogóle się nie zgłosił... Cóż: nawet z marionetkami są dziś kłopoty.

● Z artykułu Janusza Korwina-Mikke: *Musimy żyć na własny rachunek. Własny garnuszek uczy bowiem gospodarności...* Pod warunkiem, że ucho się nie urwie.

● W artykule Ireny Wóycickiej („Tygodnik Solidarność”) czytamy: *Pod kreską minimum socjalnego żyje w Polsce sześć milionów osób. Co szósty obywatel naszego kraju, w tym co trzecie dziecko, żyje w niedostatku...* Warto zadedykować te słowa tym, co rośli w siłę, głosząc, iż żyjemy coraz dostatniej.

● Już chyba wszyscy zainteresowani odcięli się od widowiska telewizyjnego o Grocie-Roweckim. Na placu opustoszałym pozostali twórcy: Urbankowski, Królikiewicz, Filipski. Bardzo muszą czuć się dziś nieswojo, bo przecież im chodziło – o coś więcej, niż przetrwanie...

● Nową formułą pamiętnikarstwa są wspomnienia dotyczące osób, przyjemnie żyjących przed sierpniem. Wilhelm Szewczyk przypomniał sobie o Grudniu.

Cytujemy: *...Przysiadł się do mnie w bufecie sejmowym, kiedy jadłem śniadanie i w życzliwym tonie pouczał mnie co trzeba robić, żeby było lepiej... I pomyśleć, że dobrych rad Grudnia mogą wysłuchiwać jedynie bywalcy sejmowego bufetu! Marnują się u nas talenty po AGH.*

● Recenzent „Studenta” Bronisław May o *Zamachu stanu*: *...Reżyser „Zamachu stanu”, w trosce o obiektywizm i historyczną prawdę, utwór swój kształtuje tak, by nie pozostawiał on marginesu dla niesłusznych ocen czy chwiejnych interpretacji. W tym miejscu należy podkreślić szczególne zasługi autora scenariusza – Ryszarda Gontarza. Okazał się zwłaszcza mistrzem dialogów, w których popelnicy polskiego Kaliguli kompromitują się doszczętnie... Do Gontarza można mieć zaufanie. Pamiętamy jak skompromitował 13 lat temu Jasienicę i Słonim-*

skiego. Aż głos im odebrało. I to na długo.

● Opinia prof. Kazimierza Dzieciolowskiego: *Żaden komputer nie wyjdzie poza to, co mu mózg ludzki nakazał...* W latach zarówno propagandy jak sukcesów nakazy dla komputerów formułował mózg Wrzaszczyka: szarej emnencji od szarych komórek.

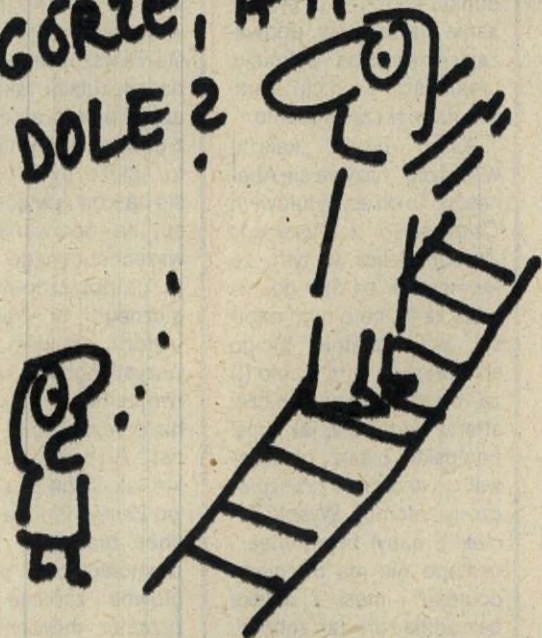
● W „Kierunkach” Zbigniew Irzyk pisze o wznowionym własnie *Pamiętniku moich książek – Bratnego: Wszystko w tym „Pamiętniku” jakieś płaskie, śliskie, jednowymiarowe, żenująco niesmaczne...* Prawda o epoce sprzeczna się ostatecznie do rozczuleń nad własną osobą i nad wzruszającą sztubacką naiwnością Pokolenia Pryszczatych... Tyle się mówi o wyrównaniu krzywd wyrażonych pisarzom, skazanym na nieobecność. Czyżby Bratny także należał do prześladowanych? A może o wznowieniu zdecydowała prawdziwość i rzetelność opisów? Jeśli o to chodzi wolimy już wspominki Putramenta i Sokorskiego.

● Z felietonu Jana Klossowicza: *...Przecież i w teatrze satyryczne kabarety bywały poprzednio, a ostatnio stały się wyraźnie najatrakcyjniejszą formą widowiska. Jest bowiem kabaret gatunkiem teatralnym najbardziej zbliżonym do dziennikarstwa i jako taki może najłatwiej dotrzeć kroku wydarzeniom...* Cieszą nas te pochwały kabaretu, o którym przez lata pies z kulawą nogą nie wspominał, a cóż dopiero – krytycy teatralni.

● Dlaczego przybyło nam tyle pomników? Z pomnikami jednak łatwiej. Obywają się bez kartek.

● Sędzia Zofia Wasilkowska o konieczności respektowania zasady niezawisłości sędziostwa: *Jedną z podstawowych gwarancji praworządności jest rozstrzygnięcie każdej sprawy przez tego sędziego, któremu ona przypada zgodnie z podziałem czynności. Powinna być to zasada niepodważalna. Niedopuszczalne jest jakiegokolwiek dowolne dobieranie sędziów do pewnego typu spraw, czy do określonej sprawy...* Jak widać na załączonym obrazku – mieliśmy wąskich czy może raczej niewąskich specjalistów, którzy znali wyrok, zanim odbyła się rozprawa. Łatwo było rozróżnić tych panów: często ogłaszali przerwy w rozprawie, by zatelefonować po dalsze instrukcje.

TATO, CZY JAK ODWRÓCIMY  
DRABINĘ, TO JA BĘDĘ  
NA GÓRZE, A TY  
NA DOLE?



Skawomir Mrozek

# ŻYCIE POZAGROBOWE

Wróciła na łamy prasy stara jak świat idea utworzenia Ministerstwa Dziecka... Pewnie jakieś cudowne dziecko już się szykuje, by objąć tekę ministra.

★

Przypomnienie Andrzeja Osęki: Polska, która od 1939 roku była największym w świecie eksporterem wyrobów koszykarskich z wikliny, musiała ją parę lat temu sprowadzić z Portugalii, żeby się wywiązać z nielicznych i na mały handelek obliczonych kontraktów zagranicznych... Łaska boska, że w Portugalii obalono dyktaturę i sprowadziliśmy wiklinę z postępowego kraju, by móc dalej pleść. O dynamicznym rozwoju.

★

Z dziejów postępu w XIX w.: Żegluga parowa Andrzeja Zamoyskiego zbankrutowała. Huta Bankowa (największa w Królestwie) została unieruchomiona z powodu braku zamówień. Nowoczesne folwarki dopracowały się znacznego deficytu... Skoro zwolennikom pracy organicznej też nie szło, o cóż właściwie mamy pretensje do byłego ministra żegluga, byłych budowniczych Huty Katowice i zarządców PGR-ów?

★

Przepisane z Urszuli Koziół: Oplakaliśmy już małe elektrownie, małe cegielnie, młyny i wiatraci, pora zacząć oplakiwać małe wiejskie kuźnie... Wraz trudniej w ciężkich czasach być kowalem swego losu.

★

Jedną z ciekawszych piosenek 18 Studenckiego Festiwalu Piosenki był utwór *Wielki Manitou* – Andrzeja Janeczko. Adaptacja wiersza Wiktora Woroszyńskiego – *Wódz*. Piosenka p. Janeczko dotyczy b. przywódcy, który obsunął się po Sierpniu. Żeby było śmieszniej: tekst Woroszyńskiego wyszydzał Mikołajczyka i PSL...

## RUBRYKA ZMIAN PERSONALNYCH

Tadeusz Szyblejko odwołał Jerzego Waldorffa ze stanowiska Świętego Jerzego... Zawsze chętniej unieważnia się u nas rycerzy niż smoki.

★

Kazimierz Koźniewski zatwierdził Stefana Kisielewskiego w roli Znanego Pisarza. Uzasadnienie: Nie, Stefan Kisielewski nie ma prawa mieć żadnych

kompleksów, iż jest pisarzem zapoznanym. Jest bowiem zapoznany w tym, co stanowi najsłabszą stronę jego pisarskiego talentu... Bardzo to przyjemne stwierdzenie. Są jednak w kraju czytelnicy radzi zapoznać się z tym, co zdaniem Koźniewskiego słusznie zostało zapoznane tj. – z powieściami autora *Romansu zimowego* i *Ludzi z akwariem*.



Komu Zamek Wjazdowski?

## SMUTANKA wiadomości towarzyskie



### BEREZA OJCEM CHRZESTNYM

Informując Kazimierza Targosza o przyczynie niewymieniania polskich pisarzy współczesnych Henryk Bereza ujawnił, że jest „niejako ojcem chrzestnym wielu współczesnych książek”. Są szczególnie na temat odchowanych lektur, łącznie z nazwiskami.

### LIPIŃSKA CHCE SIEBIE PRZEKONAĆ

„Chętnie zagrałabym także... rolę współczesnej kobiety m.in. aby przekonać siebie i innych, że potrafię grać także całkiem zwykle dzisiejsze kobiety” – oświadczyła Marta Lipińska Stefanowi Drabarkowi. Jest mowa o Macieju Englercie.

### MIŁOSZ:

#### „KAWIARNIA BYŁA INSTYTUCJĄ WSZECHMOCNĄ”

„Kawiarnia była instytucją wszechmocną” – powiedział Aleksandrowi Futowi Czesław Miłosz. W dalszym ciągu rozmowy Czesław Miłosz usprawiedliwił mówienie o kawiarni w czasie przeszłym faktem przebywania za granicą.

### THAI SAN DONG:

#### „TOWARZYSZY MI MAMA”

Odpowiadając na pytanie Ewy Solińskiej, czy nie czuje się samotnie Thai San Dong oświadczył: „Towarzyszy mi mama. Będzie ze mną wszędzie gdzie pojedę”. Jest fotografia, bez mamy.

### GAERTNER:

#### „NIE MAM ŻYCIA RODZINNEGO”

„Nie mam życia rodzinnego” – powiedziała Janowi Piaseckiemu Katarzyna Gaertner, dodając że może sobie pozwolić na stabilizację, ponieważ mężczyźni nie wytrzymują napięcia. „Mężczyźni nie lubią również kobiety, która odpoczywa w domu”. Jest o rolnictwie.

### ADAMKÓWNA:

#### „KIEDY PRACUJĘ NIE BYWAM SMUTNA”

„Kiedy pracuję nie bywam smutna” – powiedziała Katarzynie Magdoń Bożena Adamkówna. Jak wynika z innych fragmentów wywiadu, aktualnie Bożena Adamkówna nie jest zbyt wesoła.

### HUTNIKIEWICZ PRZEDSTAWIŁ SVOJE TYPY

Zapytany przez Urszulę Bąkowską o najbardziej cenionych krytyków Artur Hutnikiewicz wymienił: Sandauera, Błońskiego, Kwiatkowskiego, Balcerzana, Maciąga, Barańczaka i Sprusińskiego. Nie wyklucza się co najmniej trzech obrażonych, nie wymienionych.

### REWIŃSKI:

#### „NIE STARAM SIĘ BYĆ ŚMIESZNY”

„Nie lubię, ani nie staram się być śmieszny” – powiedział Alinie Chabałowskiej Janusz Rewieński. Jest wywód.

redaktor prowadzący: TUSIAK

## Hobby

„Temat, który chciałem poruszyć w moim liściku jest oklepany na lamach Waszego pisma jak pośladki kelnerki” – pisze Czytelnik z Ciechanowa. Co prawda już dawno nie oglądaliśmy pośladków żadnej kelnerki, ale wierzymy na słowo. Tematem korespondencji jest sprawa wynaturzeń w gospodarce papierem, na tym zaś punkcie mamy rzeczywistość autentycznego fioła. Zresztą nie my jedni, nasi wypróbowani Czytelnicy, również hobbisci tego tematu, dbają o nasze dobre satyryczne samopoczucie i zasypują nas przykładami marnotrawstwa tego cennego surowca. Sytuacja zaś jest taka: im więcej grzmi się o oszczędności papieru tym większa nonszalancja i marnotrawstwo.

Czytelnik nabył właśnie produkt Śląskich Zakładów Mechaniczno-Optycznych w Katowicach o nazwie „Okulary ochronne b. lekkie typu O-22”. Okulary pakowane były po 10 sztuk i do każdego egzemplarza dołączono pokaźną kartkę bardzo dobrego gatunkowo papieru ze szczegółową charakterystyką produktu. I tak w rozdziale „Zastosowanie” przeczytać można pożyteczną informację do czego w ogóle służą okulary ochronne. „Okulary ochronne O-22 służą do ochrony wzroku użytkownika”. Teraz przynajmniej wszystko jest jasne. Producent służy też „Opisem budowy”. „Okulary ochronne O-22 składają się z ramki, panoramicznej szybki i dwóch zauszników”.

Nie będziemy absorbowali użytkowników innymi rewelacjami, np. jak wymienić uszkodzoną szybki itp. Jeszcze tylko zacytuujemy rozdział „Opakowanie”. „Okulary ochronne typu O-22 włożone do woreczka igielitowego pakowane są wraz z szybką zapasową w ilości 10 szt. w karton tekturowy o wymiarach 320x70x70”.

Ułotkę wydano w 100 tys. egz., rzeczą specjalistów jest obliczyć, ile w zamian można by wydrukować książek i w jakich nakładach. A przecież jest to przykład jeden z wielu.

Mamy rewelacyjny pomysł, jak natychmiast zaoszczędzić połowę papieru wyrzucanego na tego rodzaju wydawnictwa. Otóż należy obciąć o połowę przdziłały różnym producentom w rodzaju Śląskich Zakładów Optycznych „Opta” i odzyskany surowiec przeznaczyć na lektury szkolne. Aż dziw, że żaden specjalista od gospodarki papierem jeszcze na to nie wpadł.

Nagrodę tygodnia (zł 200) w naszym nieustającym konkursie „Uczymy się patrzeć satyrycznie” otrzymuje p. E. Biela za nadesłany „donos”.

## TO SIĘ NADAJE DO „SZPILEK” czyli donosy od czytelników

Nie wszystkie relikwie przeszłości udało się wyciągnąć z naszego handlu. Przechodnie chwytają się za brzuchy (na ogół puste) zaśmiewając się na widok ciężarówek dostawczych opatrzonych reklamowymi napisami: „Odwiedzajcie sklepy „Społem”. Proponujemy dodać: „Witają tam chlebem i solą”.

o pojemnika na pościel w cenie 1102 zł dołączona jest karta gwarancyjna formatu A-4 z różnymi pouczeniami i dwoma kuponami kontrolnymi. Zastanawia napis: „Zachować przez okres jednego roku”. Przy tak dotkliwym braku papieru toaletowego?

W światowym hutnictwie szykuje się nie lada sensacja. Oto do Nowej Huty nadszedł transport (nie pierwszy) złomu z Rabki Zdroju z zawartością m.in.

## Korespondencja

### POZDROWIENIA ZE SZWECJI

Wasz przypadkowy korespondent donosi z Göteborga:

Pamiętacie jak opisywałem Wam wspaniałą zimę pod Polar Cirkel czyli Kręgiem Polarnym? Od tego czasu byłem w kraju skazany na korespondencje waszego korespondenta z TV, p. Broniarka, który od lat z podziwu godnym zaparciem (powinno być samozaparciem?) przeraża nas kryzysem gospodarczym, narkomania i strajkami w Szwecji.

Ponieważ ja nie jestem na etacie, więc napiszę Wam, bez przesady, szczerą prawdę o kawałku Szwecji, o drugim co do wielkości mieście, Göteborgu (438.000 mieszkańców).

Miasto rozciąga się na kilku granitowych wzgórzach, nad kanałami. Te kanały są dowodem, że miasto to wcale nie jest szwedzkie, a holenderskie bo na „obstalunek” króla Szwecji Karola IX z początkiem XVII wieku zbudowali je sprowadzeni w tym celu Holendrzy, na swoją „kanałową” modłę i „na swoim prawie” czyli organizacji, z czego żaden holenderski nacjonalista (byli tacy?) nie wywodził prawa Holendrów do Göteborga, jako „urholenderskiego” miasta i to bardziej świeżego wykonania, niż zbudowany na prawie magdeburskim Kraków.

A w ogóle to tutaj panuje bieda, co postaram się udowodnić: Najpierw rzuca się w oczy czystość ulic, chodników i jezdni, nie tylko zresztą Göteborga. W porównaniu z miastami szwedzkimi nasz „czysty” Poznań wygląda jak śmietnik. Dowodzi to jedynie oszczędzania kredytów na czyszczenie miasta, a więc bieda.

Poza tym pierwszorzędnym dowodem biedy jest sposób budowania. Kolosalnie przeważają domy budowane na granitowych skałach, bo całe miasto jest tutaj na nich rozpostarte. Niektóre domy mają granitowe fundamenty, a nawet także całe partery. Te budowle wzniesione są solidnie, mogą trwać tysiąc lat. Dowodzi to, że Szwedów nie stać na taki styl budowy, jaki zastoso-

wano przy nowym gmachu WRN w Poznaniu, gdzie po 10 latach trzeba całkowicie zmienić elewację budynku, co się już od prawie roku uskuteczniło. No i wreszcie mój atutowy as – argument. Przestrzegam Was poważnie: nie wchodźcie do sklepów, a zwłaszcza omijajcie sklepy spożywcze i nie dajcie się nabrać na oglądanie miejscowych „Sukiennic”, które się nazywają „Sallu Halen”. Są pełne najróżnorodniejszego żarcia: masy pomarańczy po 4 kr za 1 kg, jabłek po 5 kr, kielbasa krakowska po 48 kr, myśliwska po 49 kr i szynka po 50 kr. Cafe duże „szyny” wiszą jedna przy drugiej. Przy każdym stoisku po 3-4 osoby kupujące. W przeliczeniu na nasze „dewizowe” korony jest to nie tyle dość, co bardzo drogo. Tubylcy są w trochę lepszej sytuacji, bo nie płacą za nic „dewizowymi” koronami, ale zwykłym miejscowym pieniądzem, którym jest szwedzka korona, a to wychodzi taniej. Np. nauczyciel szkoły średniej zarabia na godzinę ca 100 kr, więc za jedną godzinę lekcyjną może sobie kupić... Tu można by dość dokładnie obliczyć, gdyby nie te podatki, rzeczywście wysokie, za które oni rzeczywiście coś mają, jak np. korzystne ubezpieczenia socjalne, wspaniale wyposażone szkoły, idealnie utrzymane drogi.

Oszczędnościowe, z gra-

puszek z konserwami wieprzowymi i wołowymi. Tak spreparowany wsad do pieca rokuje surówkę najwyższej jakości.

Wśród osób uprzywilejowanych do przejazdu kolejką na Gubałówkę na pierwszym miejscu znajdują się posłowie PRL, o czym informuje stosowna tablica. Posłowie mają teraz ciekawsze trasy zjazdowe, mogą więc chyba ten przywilej sobie darować.

Ogłoszenie z „Echa Krakowa” (nr 75): „Wzór miotły do zamiatania, opatentowany, oddam do produkcji warsztatom ślusarskim... Wreszcie idealna miotła dla patentowanego osła.”

Materiały nadesłali: J.D., NN, E.BIELA, J.W.

SPRAWY i SPRAWKI

nitowego meksfaltu lub las-trika jezdnie też nie dają nadziei na szybki zarobek przy ich naprawie i lśnią często swą białą-szara nawierzchnią.

Polaków jest tutaj co najmniej 500. W każdym razie tyłu ich naliczyłem w niedzielę, w lawkach jedyne katolickiego kościoła, służącego zgodnie wszystkim nacjom tego wyznania, podczas mszy w języku polskim.

Kontakt z Polską i Polakami Szwecja i Göteborg utrzymują dwójako: Od kilku miesięcy każdy dziennik telewizyjny zaczynał się tutaj tak, jak u nas się kończy – dwukolorową mapą Polski. „Szedł” w telewizji bardzo ciekawy film „Polska Dagar” – polskie dni, pokazujący nader wszechstronnie i w każdej dziedzinie, nasze codzienne życie w Polsce, z mnóstwem wywiadów zarówno z t.zw. ludźmi prostymi, jak i z przedstawicielami życia kulturalnego. Zdjęcia robili Szwedzi, mówili i „grali” Polacy, polska była fonia i szwedzkie nadruki.

W tę niedzielę będzie „Teatr 8-go Dnia” z Poznania, a od 11 kwietnia zaczynają się „Dni Polskie”, które mają trwać do połowy maja: Te właśnie dni inauguruje „Teatr Den Ottonde Dagen”. Będą filmy Wajdy, wystawa malarstwa, sztuki ludowej, występy poetów i muzyków. Dni te, pod hasłem „Polska 81” zapowiedziane są afiszem.

Jak widać kulturalne współżycie, a raczej kulturalna inwazja Polaków, mimo dzielącego ich od Szwecji sporego kawałka wody, jest dość silna, a – co najważniejsze – miło przez Szwedów widziana.

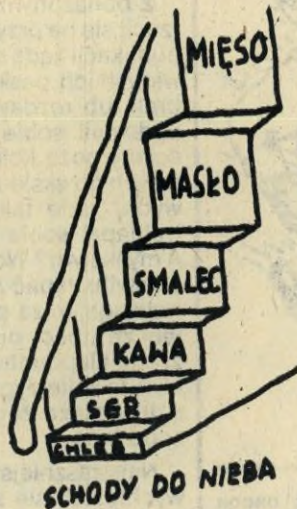
Tyle, na razie, donosi Wasz przypadkowy korespondent

**JÓZEF WASZKIEWICZ  
- GÖTEBORG**

## PWK PRZEGLĄD WIADOMOŚCI KRAJOWYCH

Główny Inspektorat Sanitarny ostrzegł przed kupowaniem olejów niewiadomego pochodzenia. W ostrzeżeniu nie podano nieśledzących adresów, gdzie można takie oleje kupić.

## POLECAMY HUMOR I SATYRĘ Z GAZET ZAKŁADOWYCH



„GRYFIA” Szczecin

### Rolnicy potrzebują traktorów

Z błyskami gniewu w oczach a często z mocnym przekleństwem witają coraz częściej pracownicy fabryki – jeżdżące po jej terenie traktory z kółek rolniczych z Mirca, Pawłowa,

liży, Gadki, Jagodnego, Krzyżanowic, a nawet z Ostrówca i Opatowa. Pracownicy dziwią się, że w okresie prac wiosennych na polach tak wiele ciągników zatrudnionych jest poza rolnictwem.

Podczas niedawnego Krajowego Zjazdu Kółek Rolniczych co drugi dyskutant mówił o potrzebie zwiększenia ilości środków produkcji dla wsi. A ciągnik jest przecież takim właśnie niezbędnym narzędziem pracy. Słuchając tych wypowiedzi, nie można oprzeć się refleksji: dlaczego tak się dzieje, że rolnicy nie mają czym orać, a w fabryce warczą „kółkowe” ciągniki?

Pierwsze pytanie zadałem Zygmontowi Sochackiemu z ZTS: – Przeciętnie zatrudniamy 20 traktorów dziennie, ale w pewnych okresach może być ich więcej lub mniej. To zależy od sezonu i nasilenia prac polowych. Uzupełniają one wewnętrzny transport zakładowy.

Następny telefon do pani Teresy Wojtan o koszt tej „imprezy”. – Zgodnie z umową płacimy za każdą godzinę pracy traktora 218 zł przy czym za dojazd należy się 170 zł, a za konwój dodatkowo 150 zł.

Rachunek prosty: dwa dziesięć maszyn każdego dnia kosztuje FSC ponad 35 tys. zł.

Oczywiście, tyle SKR nie zarobiłyby u rolników.

Kto ma coś wspólnego ze wsią zżyma się na taką gospodarkę środkami transportu. Mają przecież one służyć produkcji rolnej. Niektórzy twierdzą, że jeżeli maszyny mają stać bezczynnie w bazach kółkowych, to raczej niech pracują przynajmniej dla przemysłu. Zgoda! Tylko nie w czasie, gdy na polach trzeba orać, siał, kosić czy zbierać. A jeżeli już faktycznie nie mają nic do roboty, to oznacza, że jest ich w danym rejonie za dużo. (az)

„BUDUJEMY SAMOCHODY”  
Starachowice

### Humor

Gdy kilka dni temu, jeszcze przed oficjalnym komunikatem, wiadomo było, że Centralna Komisja Kontroli Partijnej releguje z szeregów partyjnych byłego premiera, Piotra J., z taką właśnie informacją do jednej z krakowskich drukarni przyszedł redaktor naczelny pewnej krakowskiej gazety codziennej. Gdy podzielił się z załogą sensacyjną wiadomością, którą dostał z Warszawy „cichym” kanałem, jeden z zecerów odezwał się – A my sobie nie życzymy, żeby Piotr J. był w szeregach bezpartyjnych!

„POLAR” Wrocław

\*\*\*

Polska Agencja Prasowa podała wiadomość, że wytwórnia fajek L. Wałat w Przemyślu otrzymała propozycję przeniesienia się do Stanów Zjednoczonych AP, ponieważ jej znaczenie dla gospodarki kraju nie jest dostatecznie doceniane.

\*\*\*

Targ w Pszczynie działa od 1514 roku. Jak wynika z relacji prasowych, targ w Pszczynie ma już za sobą najlepsze lata i teraz podupada.

\*\*\*

Można by przyspieszyć remonty traktorów dla radomskiego rolnictwa, gdyby nie brak wtryskiwaczy, przewodów paliwowych, uszczelki pod głowice, odrzutników oleju, elementów przednich zawieszek, akumulatorów i opon. Z brakiem fachowców ja-koś by sobie poradzono!

### ZBIGNIEW LENGREN



– Catuję twoją dłoń, madame.



REKONTRA

## PROFESURA Z FUTBOLU

Przewodniczący GKKFIT w latach 1953-73 (największe sukcesy polskiego sportu), członek MKOl, aktualny rektor katowickiej WSWF dr Włodzimierz Rzeczek przyjął godność prezesa PZPN. Można zatem powiedzieć, że obok posiadanego doktoratu z turystyki postanowił ubiegać się o profesurę z futbolu. Włodzimierz Rzeczek bowiem nigdy się – przepraszam za sformułowanie – nie obcyndalał, jak czegoś się podejmował i coś robił, to zawsze na 24 fajerki. Niemniej przyjęcie przez niego „prezesury naczelnej magistratury”, – jak nazywa to prasa sportowa – można porównać ze skokiem z trampoliny do pustego basenu. W tego typu popisach tylko pierwsza faza czyli odbicie i lot jest piękny, znacznie gorzej natomiast z lądowaniem. Rzecz w tym, żeby w czasie lotu optymalnie napełnić basen. A tu nie bardzo wiadomo jaką wodą i z czego...

Prawdę mówiąc nie bardzo rozumiem dlaczego rektor, w dodatku człowiek rozsądny, zgodził się na tak ogromne ryzyko. Sławy mu nie brakowało, za jego przeciw rządów świecili sukcesy lekkoatletci, bokserzy, szermierze, sztanglści, a i piłkarze zdobyli złoty medal olimpijski. Teraz to wszystko może utracić. I to bardzo łatwo. Wcale bowiem nie musi kłaść piłki nożnej, wystarczy, że nie podniesie jej z obecnego upadku. Wyjazdy zagraniczne też nie były mu potrzebne, jako że jest członkiem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, a wiadomo, że funkcja ta jest dożywotnia. Życie miał spokojne, a pod nóż – m.in. „Szpilkowy” – się pchał! Zyskać może mało, stracić wszystko. Z wyjątkiem jednego: poczucia humoru. I jest to bodaj główna przyczyna dla której jestem w stanie zrozumieć przyjęcie przez Włodzimierza Rzeczkę prezesury PZPN. Są jeszcze i inne powody, jak choćby niespożyta energia, ogromne doświadczenie, takt w postępowaniu itd. itp., ale jak wiadomo wymieniane cechy nie w pełni jeszcze zostały ostatnio nobilitowane.



Oczywiście sama cenna osoba prezesa Reczka i jego najszczerze chęci nie rozwiążą z miejsca problemów polskiego futbolu. Ciekawy jestem na przykład jak nowy prezes pogodzi sprzeczność między osobistym umiłowaniem idei olimpijskiej a komercjalizacją piłki nożnej, którą też w końcu kocha? Ot, taki przykład: prasę polską obiegła ostatnio wiadomość o słynnym okrzyku trenera Władzwa Jacka Machcińskiego, który po meczu ze Śląskiem palnął: „Sędzia dyktując rzut karny odebrał mi piłkarzom kilka tysięcy złotych!” A mnie się wydawało, że w piłce, jak w sporcie, idzie raczej o zwycięstwa i punkty! Cześć szczęście, że było to jeszcze przed nastaniem rządów prezesa-olimpijczyka.

Nowy prezes PZPN będzie miał o tyle źle, że w trakcie tajnych i demokratycznych wyborów wyłoniono nowy zarząd, do którego m.in. na miejsca ludzi z klucza weszli tacy, którzy musieli kiedyś odejść, bo byli mądrzejsi od poprzednich prezesów. Doktor Rzeczek nie boi się ich, przeciwnie, doradców na ogół brał tylko mądrych. Działacze PZPN wybierając Włodzimierza Reczka na prezesa zrobili w przeciwieństwie do niego dobry interes, gdyż tym samym uniknęli ewentualnie innych, którzy się sztykował. A to już dużo!

Echa nadzwyczajnego zjazdu – w piłce nożnej też były ku temu powody – jeszcze nie przebrzmiały, a już krytykuje się ekipę „ostatniej szansy” polskiego futbolu za brak programu. Jak znam życie, niezależnie od programu prezes Rzeczek zastosuje starą metodę i najprostszymi środkami będzie zmierzał do tego, aby nasza reprezentacja wygrywała nawet z silniejszymi przeciwnikami. Tego typu program nie bywa na ogół przegadany i dlatego jest zawsze dobry.

TADEUSZ  
OLSZĄŃSKI



Z obnażonymi kłami dziennikarski świat rzucił się na przywileje władzy. W tysiącach publikacji żąda się zdjęcia i wsadzenia tych wszystkich paskudnych dygnitarzy, którzy brali lub rozdawali talony samochodowe, budowali sobie dachy kupując dyktę na ściany poza kolejką, ministrów rozjeżdżających po ekskluzywnych domach wczasowych, gdzie taki rozpieął się w wannie i chlapał sobie panisko wodą na kafelki. A myślistwo? Wojewodowie musieli biegać od świtu, łapać zająca żywcem, trzymać go rozciągając za przednie i tylne łapy, a notabł ze stolicy pif-paf, strzelał mu w środek, zżerał kłapoucha i szedł inkasować łapówki. A te wille dygnitarzątek, a te kopertowy, a te wojaże zagraniczne, a ten salceson spod lady...

Najstraszniejsze, że i sami dziennikarze wychłostali się za korzystanie z przywilejów. Co prawda swoje grzechy wyprali na kameralnych zebraniach, zaś cudze na oczach milionów – nie zmienia to jednak faktu, że miałem się czego bać. Wszystko zapowiadało koniec słodkiego życia. Walne Zebranie Oddziału Warszawskiego SDP uchwaliło: „Domagając się praw, a nie przywilejów, nie możemy zapominać o podstawowych obowiązkach etycznych naszego zawodu”. Nie uległo najmniejszej wątpliwości, że jako dziennikarz będę teraz wstawał o świcie, zapieprzał pieszo i boso, by na czczo całować wybranego chłopca-robotnika, a następnie udawał się do ciężkich robót za całe wynagrodzenie mając miseczkę ryżu oraz książeczkę z myślami Przewodniczącego Bratkowskiego, lub jego pani Cing Ciang nazwiskiem Dariusz Fikus.

Okazało się, że strach ma wielkie oczy. Wśród wrzasku: „precz z przywilejami, pośpiech kota władzy, cisnąć sytych – pieścić upośledzonych, równość, służba społeczna i ubóstwo” Nadzwyczajny jeśli idzie o krzykliwość Zjazd Dziennikarzy wybrał w ubiegłym roku komisję, która opracowała projekt nowego układu zbiorowego. W myśl tego dokumentu każdy dziennikarz różnić się będzie zasadniczo od człowieka pracy, którego interesy ma wyrażać.

Dotychczas miałem głupie sześć tygodni rocznie płatnego urlopu, w czasie którego płacono mi również honoraria za niepisanie. Obecnie otrzymam dodatkowe dwa tygodnie urlopu płatnego na „pracę twórczą”, co razem da dwa miesiące. Ponieważ już mam wolne wszystkie soboty, więc dodając do nich urlop, do tego niedziele, święta państwowe i kościelne widzę, że więcej niż pół roku w roku będę wypoczywał, zaś mniej niż pół roku pracował, a i to wcale niekoniecznie. Na pozostałe pół roku mam bowiem prawo wziąć urlop bezpłatny, a raz w ciągu kariery nawet przysługuje mi płatny urlop półroczny, jeśli tylko sam

# JĄDRO DEMOKRACJI

uznam, że muszę podratować zdrowie nadwężone w wyniku przepracowania.

Projekt układu zbiorowego dziennikarzy gwarantuje mi też nierobienie niczego w trakcie rzadkich dni roboczych. Od początku dziennikarza wolno wymagać nie więcej niż tekstów wartości 25 proc. jego uposażenia, czyli 1 tys. zł. To znaczy jednego artykułku miesięcznie. Dziennikarz o dłuższym nieco stażu obowiązany jest wypisać 5 proc. poborów, czyli wystarczy jeżeli raz na miesiąc sporządzi informację, że chleba nie dowieźli. Ja, a także o wiele młodszy koleś, którzy wysłużyli trochę lat mamy prawo do honorowych posad reporterów czy publicystów, ponieważ żadnego w ogóle pisania nie wolno od nas wymagać.

Prezes Stefan Bratkowski w swych przemówieniach, pierwszy bodaj na obecnym etapie, zaprojektował ograniczenie do dwóch kadencji czasu, przez który jakkolwiek towarzysz może być partyjnym prominentem. Uważam, że sprawiedliwość wymaga, aby i dziennikarzem wolno było być tylko przez dwie kadencje. Wiem najlepiej, że dziennikarstwo nie wymaga żadnych umiejętności, a jak najwięcej zabiedzonych inteligentów powinno móc zakosztować klawego życia w oparciu o nowy układ zbiorowy.

Ja już od roku nie zwalczam żadnych przywilejów władzy, a wkrótce zacznę domagać się przywrócenia niektórych i stworzenia nowych, żeby zachęcić ludzi do pełnienia urzędów, gdyż coraz trudniej o kandydatów w obecnych warunkach. Mogę więc z czystym sumieniem przyjąć wszystkie podejrzone przywileje jakie mi SDP ofiaruje i jeszcze dokraść coś na boku. Protestuję jednakże przeciwko zawodowej dyskryminacji jaką usiłuje mi zgotować Stowarzyszenie Bratkowskiego i bzz, bzz Kalabińskiego Jacka.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich jest obecnie ugrupowaniem politycznym, które w licznych uchwałach, jakie podejmuje precyzyjnie określa swoją orientację. Uchwała z 28 marca np. postanawia, że interwencja Polsce nie grozi. Domaga się od twarogłowych w kierownictwie partii, żeby ustąpili ze stanowisk i oddali je miękogłowym. Zdaniem SDP pełnomocnictwa rządu są za małe, reformy ustroju politycznego powinny być szybsze, drukarze mogą się wtrącać do treści publikacji itd. SDP w odróżnieniu od KC uważa, że ustrojowi socjalistycznemu nic w Polsce nie zagraża i straszy ono trybunałem historii wszystkich, którym głowy nie zmięknęły. Są to niewątpliwie opinie i żądania polityczne. Różni ludzie uprawiający pseudozawód dziennikarza to mogą się z niektórymi zgadzać, to z innymi nie. Ja na przykład, kiedy uzna-

łem, że nie podzielam wszystkich składników politycznej doktryny SDP – ze stronnictwa tego wystąpiłem, bo w demokracji tak się właśnie dźiać powinno.

Jednakże organizacja o tak szczegółowych i wyrazistych poglądach nawet na politykę bieżącą nie może być jednocześnie związkiem reprezentującym ogół zatrudnionych w dziennikarstwie. A już jeśli panuje demokracja i pluralizm to właśnie na pewno nie może. Tymczasem SDP występuje i w tej także roli komponując np. ów projekt układu zbiorowego, gdzie przyznaje sobie prawo kwalifikowania ludzi do zawodu dziennikarskiego. Bez akceptacji stronnictwa Bratkowskiego nie można być dziennikarzem, a więc nie może wejść do zawodu ktoś, kto nie podziela poglądów władz SDP, gdyż nie będzie im się przecież podobał. Naczelnym redaktorem nie może zostać nikt, kto nie jest członkiem tego ugrupowania politycznego, lub nie uzyska odeń przyzwolenia. Skoro więc ze względów politycznych wystąpiłem ze Stowarzyszenia nie mogę więcej marzyć o zostaniu naczelnym redaktorem, bo jest to prawnie wykluczone. I jeżeli np. Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald” zechce wydawać swój organ, którego myślą przewodnią będzie wyrwanie Bratkowskiemu jego podejrzonej brody, po to, aby ujawniło się jego prawdziwe oblicze – oprawcą takim będzie mógł zostać tylko zwolennik Bratkowskiego, czyli któryś z jego członków.

Nie powiem, żeby poprzednia epoka sprzyjała awansom ludzi o takich skazach jak bezpartyjny i felietonista. Już nawet fonetyczna różnica między felietonistą a imperialistą jest nikła. Co innego jednak eliminujące mnie, słusznie zresztą, praktyczne mechanizmy polityki kadrowej, to proszę bardzo, a co innego polityczny *numerus nullus* formalnie zawarty w układzie zbiorowym, a ograniczający też prawo partii, stronnictw, organizacji do swobodnego powierzenia swych organów prasowych wyznaczonym działaczom.

Ponieważ członkiem SDP powinni być ci tylko, którzy popierają polityczny program tego ugrupowania, więc projekt układu zbiorowego proponuje stworzenie monopolu politycznego w propagandzie. Jeśli bowiem wpierv dziennikarzem w ogóle, a potem naczelnym redaktorem może zostać tylko poplecznik SDP – istnienie pism o odmiennych kierunkach zostaje wykluczone.

Takie oto bywają zle dla demokracji skutki łączenia roli ugrupowania politycznego i związku zawodowego, które to pomieszanie funkcji stało się w Polsce modne. Czy jednak demokracja zawsze u nas musi sama odgryzać sobie jądro i to akurat kosztem mojej kariery?

Redaguje zespół: ALICJA BOBROWSKA (red. tech.), JULIAN BOHDANOWICZ (kier. graf.), MARIA CZUBASZEK, FELIKS DERECKI, WITOLD FILLER (red. naczelny), MAREK GRONSKI, WOJCIECH GRZYMAŁA (red. graf.), JERZY KLEYNY (z-ca red. nacz.), KRYSZYNA KNAPIK (sekr. red.), JAKUB KOPEĆ, ADAM KRECZMAR, ANNA LECHICKA, ANTONI MARIANOWICZ, ANDRZEJ NOWICKI, TADEUSZ OLSZAŃSKI, JANUSZ OSEKA, JAN PIETRZAK, ANATOL POTEMKOWSKI, JOANNA WILIŃSKA, JERZY WITLIN, ZOFIA WOJNAR, EWA ZADRZYŃSKA. Adres redakcji: Plac Trzech Krzyży nr 16a, 00-499 Warszawa. Adres pocztowy: skrytka nr 1058, 00-950 Warszawa. Tel. 28-94-51. Redaktor naczelny: 28-04-29. Wydaje: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego nr 14, 00-666 Warszawa, tel. 25-72-91. Biuro Ogłoszeń, tel. 25-56-26. Przedruk bez podania źródła wzbroniony. Repokopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Skład tekstów technika „LINOTRON 505 TC”, montaż i druk: Zakłady Wkłoslodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Okopowa 58/72. 01-042 Warszawa. Informacji o warunkach prenumeraty krajowej udzielają Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej – zł 364. Sprzedaż egzemplarzy zdezaktualizowanych na uprzednie zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa.

Nr indeksu 37686  
Nr zamknięto 28.IV.81  
Nr zamówienia 679  
L-96.



TATO WEŻ MNIE  
KRÓTKO ZA MORDE

MŁCZKO.